

Rozdział 1

Nadciągający

Zadzwoń do mnie Ishmaelu. Kilka lat temu - nie ważne, jak dokładnie - mając w portfelu mało lub wcale pieniędzy i nic szczególnego, co mogłoby mnie zainteresować na brzegu, postanowiłem trochę popłynąć i zobaczyć wodny fragment świata. To sposób na odgonienie melancholii i regulację krążenia. Kiedy zaczynam się smucić, kiedy w mojej duszy panuje wilgotny, deszczowy listopad; kiedy nieświadomie zatrzymuję się przed magazynami trumien i ostatni towarzyszę każdemu pogrzebowi, który spotykam; a zwłaszcza gdy moje melancholie mają nade mną taką przewagę, że wymaga to silnej zasady moralnej, by powstrzymać mnie od celowego wkroczenia na ulicę i systematycznego zrzucania ludziom kapeluszy - wtedy uważam, że nadszedł czas, aby jak najszybciej wypłynąć w morze. To moja alternatywa dla pistoletu i kuli. Z filozoficznym gestem Katon rzuca się na swój miecz; ja po prostu wchodzę na statek. Nie ma w tym nic zaskakującego. Gdyby tylko wiedzieli, niemal wszyscy ludzie w swoim stopniu, w pewnym momencie, żywią bardzo podobne uczucia do oceanu co ja.

Oto wasze wyspowe miasto Manhattan, otoczone nabrzeżami jak indyjskie wyspy rafami koralowymi - handel otacza je swoim falowaniem. Po prawej i lewej stronie ulice prowadzą w kierunku wody. Jego skrajne centrum to Battery, gdzie ten szlachetny molo jest obmywane falami i chłodzone wiatrami, które kilka godzin wcześniej były poza zasięgiem wzroku lądu. Spójrz na tłumy gapiów wody tam.

Obejdź miasto w marzycielski, niedzielny wieczór. Idź od Corlears Hook do Coenties Slip, a stamtąd, przez Whitehall, na północ. Co widzisz? Rozstawione jak milczący strażnicy wokół miasta, stoją tysiące i tysiące śmiertelnych mężczyzn zatopionych w oceanowych marzeniach. Niektórzy opierają się o pale; niektórzy siedzą na głowicach pomostów; niektórzy patrzą przez burty statków z Chin; niektórzy wysoko w olinowaniu, jakby starali się uzyskać jeszcze lepszy widok na morze. Ale to są wszyscy lądowcy; w dni robocze uwięzieni w drewnie i tynku, przywiązani do lad, przybici do ławek, przyciśnięci do biurek. Jak to możliwe? Czy zielone pola zniknęły? Co oni tu robią?

Ale spójrz! Nadchodzą kolejne tłumy, idą prosto w stronę wody, wydaje się, że zmierzają do zanurzenia. Dziwne! Nic ich nie zadowoli, jak tylko skraj lądu; leniuchowanie w cieniu tych magazynów to dla nich za mało. Nie. Muszą zbliżyć

się jak najbliżej wody, jak to tylko możliwe, bez wpadania do niej. A tam stoją, mile ich jest - legiony. Wszyscy łądowncy, przybywają z uliczek i zaułków, ulic i alei na północy, wschodzie, południu i zachodzie. A jednak tutaj wszyscy się jednoczą. Powiedz mi, czy magnetyczna moc igieł kompasów wszystkich tych statków przyciąga ich tam?

Jeszcze raz. Powiedz, że jesteś na wsi; w jakiejś wysokiej krainie jezior. Wybierz prawie każdą ścieżkę, a dziesięć do jednego zaprowadzi cię do doliny i zostawi przy stawie w strumieniu. W tym jest magia. Niech najbardziej zamyślony człowiek pograży się w swoich najgłębszych marzeniach - postaw tego człowieka na nogi, niech stawia kroki, a niewątpliwie zaprowadzi cię do wody, jeśli woda tam jest w całym tym regionie. Jeśli kiedykolwiek będziesz spragniony na wielkiej amerykańskiej pustyni, wypróbuj ten eksperyment, jeśli twoja karawana będzie zaopatrzona w profesora metafizyki. Tak, jak każdy wie, medytacja i woda są ze sobą na zawsze związane.

Ale oto artysta. Pragnie namalować najbardziej marzycielski, zacieniony, spokojny, najbardziej czarujący kawałek romantycznego krajobrazu w całej dolinie Saco. Jaki jest główny element, którego używa? Stoją tam jego drzewa, każde z pustym pniem, jakby w środku znajdował się pustelnik i krucyfiks; a tutaj śpi jego łąka, a tam śpią jego bydło; a z tamtej chaty unosi się senna woń dymu. Głęboko w odległych lasach wiją się labiryntowe drogi, sięgające nachodzących na siebie grzbietów gór skąpanych w niebieskości zboczy. Ale chociaż obraz leży w takim transie, a chociaż ta sosna zrzuca swoje westchnienia jak liście na głowę tego pasterza, wszystko to byłoby daremne, gdyby oko pasterza nie było utkwione w magiczny strumień przed nim. Odwiedź prerie w czerwcu, gdy przez setki mil brodzisz w liliach tygrysich - co jest jednym brakującym urokiem? - Wody tam nie ma, ani kropli wody! Gdyby Niagara była tylko wodospadem piasku, czy podróżowałby tysiąc mil, żeby to zobaczyć? Dlaczego biedny poeta z Tennessee, nagle otrzymawszy dwie garście srebra, zastanawiał się, czy kupić sobie płaszcz, którego bardzo potrzebował, czy zainwestować swoje pieniądze w pieszą wędrowkę na plażę Rockaway? Dlaczego prawie każdy zdrowy, silny chłopiec z zdrową duszą w sobie, w pewnym momencie szaleje, by wypłynąć w morze? Dlaczego podczas twojej pierwszej podróży jako pasażer poczułeś taką mistyczną wibrację, gdy po raz pierwszy usłyszałeś, że ty i twój statek jesteście teraz poza zasięgiem wzroku łądu? Dlaczego starzy Persowie uważali morze za święte? Dlaczego Grecy nadali temu oddzielnego bóstwa, własnego brata Jowisza? Z pewnością to wszystko ma swoje znaczenie. A jeszcze głębsze znaczenie ma historia o Narcyzie, który, ponieważ nie mógł uchwycić dręczącego, łagodnego obrazu, który ujrzał w fontannie, zanurzył się w niej i utonął. Ale ten sam obraz widzimy

my sami we wszystkich rzekach i oceanach. To obraz nieuchwytnego fantomu życia; i to jest klucz do wszystkiego.

Teraz, kiedy mówię, że mam w zwyczaju wypływać w morze, gdy zaczynam mieć mroczki przed oczami i staję się nadmiernie świadomy swoich płuc, nie mam na myśli, że kiedykolwiek podróżuję w morzu jako pasażer. Aby być pasażerem, musisz mieć pieniądze, a portfel to tylko szmata, jeśli nie masz w nim nic. Poza tym pasażerowie chorują na morzu, stają się kłótlivi, nie śpią w nocy i generalnie nie cieszą się zbytnio podróżą - nie, nigdy nie płynę jako pasażer; ani, chociaż jestem czymś w rodzaju marynarza, nie wypływam w morze jako Komandor, Kapitan czy kucharz. Oddaję chwałę i zaszczyt takich stanowisk tym, którzy ich pragną. Z mojej strony, brzydzę się wszystkimi honorowymi, szanowanymi trudami, próbami i udrękami wszelkiego rodzaju. Ledwie potrafię zająć się sobą, a co dopiero statkami, barkami, brigantynami, szkunerami i tym podobnymi. A jeśli chodzi o bycie kucharzem - chociaż przyznaję, że jest w tym pewna chwała, ponieważ kucharz jest rodzajem oficera na pokładzie - jakoś nigdy nie wyobrażałem sobie smażenia kurczaków; choć gdy już są usmażone, odpowiednio posmarowane masłem i dobrze posolone oraz popieprzone, nikt nie będzie mówił o usmażonym kurczaku z większym szacunkiem, nie mówiąc już o czci, niż ja. To z bałwochwalczych uwielbień starożytnych Egipcjan dla smażonego ibisa i pieczonego hipopotama, widzisz mumie tych stworzeń w ich ogromnych piecach - piramidach.

Nie, kiedy wypływam w morze, idę jako zwykły marynarz, tuż przed masztem, prosto w dół do mesy, wysoko tam do wierzchołka królewskiego masztu. Prawda, trochę mnie tu i tam rozkazują i każą mi skakać z reje na reje, jak konik polny w majowej łące. I na początku jest to dość nieprzyjemne. Dotyka to poczucia honoru, szczególnie jeśli pochodzisz z uznanej rodziny w kraju, Van Rensselaers, Randolphs czy Hardicanutes. A szczególnie, jeśli tuż przed włożeniem ręki do szpachli z żywicą, panoszyłeś się jako nauczyciel wiejski, sprawiając, że najwyżsi chłopcy stali przed tobą w awe. Przejście od roli nauczyciela do marynarza jest dość ostre, zapewniam cię, i wymaga silnej dawki Seneki i stoików, abyś mógł się uśmiechać i znosić to. Ale nawet to z czasem mija.

Co z tego, że jakiś stary kapitan morski każe mi wziąć miotłę i zamieść pokład? Jaka jest ta poniżająca sytuacja, jeśli zważyć ją na wagach Nowego Testamentu? Myślisz, że archanioł Gabriel myśli o mnie mniej, ponieważ szybko i z szacunkiem wykonuję polecenia tego starego kapitana w tej konkretnej sytuacji? Kto nie jest niewolnikiem? Powiedz mi. Cóż, więc bez względu na to, jak stara kapitan morski może mnie traktować — jak bardzo mogą mnie bić i

popychać, mam satysfakcję, wiedząc, że wszystko jest w porządku; że wszyscy inni są w ten czy inny sposób traktowani w bardzo podobny sposób — czy to z fizycznego, czy metafizycznego punktu widzenia; i tak powszechny cios krąży, a wszyscy powinni pocierać sobie łopatki i być zadowoleni.

Ponadto, zawsze idę w morze jako marynarz, ponieważ płacą mi za moją pracę, podczas gdy pasażerowie nigdy nie dostają ani grosza, o którym kiedykolwiek słyszałem. Przeciwnie, pasażerowie sami muszą płacić. I jest cała różnica między płaceniem a byciem opłacanym. Akt płacenia jest być może najwygodniejszym obciążeniem, jakie na nas nałożyli ci dwaj złodzieje z sadu. Ale BYĆ OPŁACONYM — co można z tym porównać? Wyrafinowana aktywność, z jaką człowiek otrzymuje pieniądze, jest naprawdę niezwykła, biorąc pod uwagę, że tak gorliwie wierzymy, że pieniądze są korzeniem wszystkich ziemskich zła, a że w żadnym wypadku człowiek z pieniędzmi nie może wejść do nieba. Ach! Jak chętnie oddajemy się zgubię!

Na koniec, zawsze idę w morze jako marynarz, z powodu zdrowej aktywności fizycznej i czystego powietrza na pokładzie dziobowym. Ponieważ w tym świecie wiatry czołowe są znacznie częstsze niż wiatry z tyłu (o ile nigdy nie łamiesz Pythagore Jskiej maksymy), tak w większości przypadków komodor na pokładzie rufowym otrzymuje swoją atmosferę z drugiej ręki od marynarzy na pokładzie dziobowym. Myśli, że oddycha nią jako pierwszy; ale to nieprawda. W podobny sposób zwykli ludzie prowadzą swoich liderów w wielu innych sprawach, podczas gdy liderzy niewiele o tym podejrzewają. Ale dlaczego, po tym jak wielokrotnie czułem zapach morza jako handlarz, przyszło mi do głowy, aby teraz wyruszyć w rejs w poszukiwaniu wielorybów; to niewidzialny funkcjonariusz losu, który nieustannie mnie obserwuje i tajnie mnie ściga, i w jakiś niezrozumiały sposób na mnie wpływa — może lepiej odpowiedzieć niż ktokolwiek inny. I, niewątpliwie, moja podróż na to rejs w poszukiwaniu wielorybów była częścią wielkiego programu Opatrzności, który został opracowany dawno temu. To było jakby krótkie przerywniki solowe wystąpienie między bardziej rozbudowanymi przedstawieniami. Uważam, że ta część rachunku musiała brzmieć mniej więcej tak:

"WIELKIE KONTESTOWANE WYBORY NA PREZYDENTURĘ STANÓW
ZJEDNOCZONYCH.

"WYPRAWA W POSZUKIWANIU WIELORYBÓW PRZEZ JEDNEGO
ISHMAELA.

"KRWAWA BITWA W AFGANISTANIE."

Choć nie potrafię dokładnie powiedzieć, dlaczego ci reżyserzy, losy, przydzielili mi tę marną rolę w wyprawie wielorybniczej, gdy inni dostali wspaniałe role w wielkich tragediach, krótkie i łatwe w eleganckich komediach oraz wesołe fragmenty w farsach – choć nie potrafię dokładnie wyjaśnić, dlaczego tak było; to teraz, gdy przypominam sobie wszystkie okoliczności, myślę, że mogę dostrzec nieco źródeł i motywów, które, sprytnie przedstawione mi pod różnymi maskami, skłoniły mnie do podjęcia tej roli, oszukując mnie w przekonaniu, że była to decyzja wynikająca z mojej własnej, bezstronnej woli i wyważonego osądu.

Najważniejszym z tych motywów była przytłaczająca idea samego wieloryba. Taki groźny i tajemniczy potwór wzbudził całe moje zaciekawienie. Potem dzięki i odległe morza, na których toczył swoje ogromne ciało; nieodgadnione, bezimienne niebezpieczeństwa związane z wielorybem; te wszystkie cuda tysiąca patagońskich widoków i dźwięków sprawiły, że pożałowałem tej przygody. U innych ludzi takie rzeczy mogłyby nie być zachętą; ale dla mnie dręczy mnie wieczna chęć poznawania rzeczy odległych. Uwielbiam żeglować po zakazanych morzach i lądować na dzikich wybrzeżach. Nie ignorując tego, co dobre, szybko dostrzegam przerażenie i nadal mógłbym być towarzyski z tym – gdyby mi na to pozwolono, ponieważ dobrze jest być w przyjaznych relacjach ze wszystkimi mieszkańcami miejsca, w którym się mieszka.

Z powodu tych rzeczy, wyprawa wielorybnicza była mile widziana; wielkie wrota świata cudów otworzyły się, a w dzikich myślach, które skłoniły mnie do mojego celu, nieustannie sunęły w głąb mojej duszy, nieskończone procesje wielorybów, a wśród nich jeden wielki, zakapturzony fantom, jak góra śniegu w powietrzu.

Rozdział 2

Torebka z wykładziny

Wsadziłem jedną lub dwie koszule do mojej starej torby z wykładziny, schowałem ją pod ramię i wyruszyłem w stronę Przylądka Horn i Pacyfiku. Opuszczając wspaniałe miasto starego Manhattan, dotarłem do New Bedford. Była to sobotnia noc w grudniu. Byłem bardzo rozczarowany, gdy dowiedziałem

się, że mały statek do Nantucket już wypłynął i że nie ma możliwości dotarcia tam do następnego poniedziałku.

Ponieważ większość młodych kandydatów do trudów i kar związanych z wielorybnictwem zatrzymuje się w tym samym New Bedford, by stamtąd wyruszyć w swoją podróż, warto wspomnieć, że ja, jako jeden z nich, wcale nie miałem zamiaru tego robić. Postanowiłem żeglować wyłącznie na statku z Nantucket, ponieważ było w tym wszystkim coś radosnego i hałaśliwego, co niesamowicie mnie zadowalało. Poza tym, chociaż New Bedford w ostatnich latach stopniowo monopolizuje branżę wielorybnictwa, a biedny stary Nantucket jest teraz daleko w tyle, Nantucket była jej wielkim pierwotnym ośrodkiem – Tyrem tej Kartaginy; miejscem, gdzie pierwszy martwy amerykański wieloryb został wyrzucony na brzeg. Skąd, jeśli nie z Nantucket, pierwsi rdzenni wielorybnicy, Czerwoni Ludzie, wyruszyli w kanu, by ścigać Lewiatana? I skąd, jeśli nie z Nantucket, wyruszył ten pierwszy odważny mały jacht, częściowo załadowany importowanymi kamieniami, by rzucać je w wieloryby, aby sprawdzić, kiedy będą na tyle blisko, by ryzykować harpun z bukszprytu?

Teraz, mając przed sobą noc, dzień i jeszcze jedną noc w New Bedford, zanim będę mógł wsiąść na pokład w kierunku mojego przeznaczonego portu, stało się ważne, gdzie będę mógł jeść i spać w międzyczasie. Była to bardzo wątpliwa, a wręcz bardzo ciemna i ponura noc, z przenikliwym zimnem i smutkiem. Nie znałem nikogo w tym miejscu. Z niepokojem przeszukałem kieszenie i znalazłem tylko kilka srebrnych monet. Więc, gdziekolwiek pójdziesz, Ishmaelu, powiedziałem do siebie, stojąc na środku ponurej ulicy z torbą na ramieniu i porównując mrok na północy z ciemnością na południu – gdziekolwiek w swojej mądrości postanowisz przenocować, mój drogi Ishmaelu, upewnij się, że zapytasz o cenę i nie bądź zbyt wybredny.

Niepewnymi krokami przemierzałem ulice i minąłem szyld "Przekreślonych Harpunów", ale wyglądało to tam zbyt drogo i wesoło. Dalej, z jasnoczerwonych okien "Zajazdu Miecznika", padały takie gorące promienie, że zdawało się, iż stopiły nagromadzony śnieg i lód sprzed domu, ponieważ wszędzie indziej zamarznięty mróz leżał dziesięć cali grubości na twardym, asfaltowym chodniku, co było dla mnie męczące, gdy uderzałem stopą o kamieniste wypustki, bo z ciężkiej, bezlitosnej pracy podeszwy moich butów były w opłakanym stanie. Znowu pomyślałem, że to zbyt drogo i wesoło, zatrzymując się na chwilę, by obserwować szeroki blask na ulicy i słyszeć dźwięki dzwoniących kieliszków wewnątrz. Ale idź dalej, Ishmaelu, powiedziałem w końcu; nie słyszysz? Odsuń się od drzwi; twoje łatanne buty blokują drogę. I tak poszedłem dalej. Teraz

instynktownie podążałem ulicami w kierunku wody, bo tam, bez wątpienia, znajdowały się najtańsze, jeśli nie najweselsze zajazdy.

Jak ponure były te ulice! Bloki czerni, a nie domy, po obu stronach, a tu i ówdzie świeczka, jak świeczka poruszająca się w grobie. O tej porze nocy, w ostatni dzień tygodnia, ta część miasta okazała się prawie opustoszała. Ale wkrótce natknąłem się na dymne światło wydobywające się z niskiego, szerokiego budynku, którego drzwi stały otworem, zapraszającym do środka. Miał on niedbały wygląd, jakby był przeznaczony do użytku publicznego; więc, wchodząc, pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było potknięcie się o pojemnik na popiół na werandzie. Ha! pomyślałem, ha, gdy unoszące się cząsteczki prawie mnie dusiły, czy to popiół z tego zniszczonego miasta, Gomory? Ale "Przekreślone Harpuny" i "Miecznik?" – to musi być znak "Pułapki". Niemniej jednak, podniosłem się i słysząc głośny głos wewnątrz, pchnąłem i otworzyłem drugie, wewnętrzne drzwi.

Wydawało się, że to wielki Czarny Parlament siedzi w Tophet. Sto czarnych twarzy obróciło się w swoich rzędach, by spojrzeć; a dalej czarny Anioł Zguby bił w księgę na ambonie. To był czarny kościół; a tekst kazania dotyczył czerni ciemności, płaczu, zawodzenia i zgrzytania zębami tam. Ha, Ishmael, mruknąłem, cofając się, Nędzne rozrywki pod znakiem "Pułapki!"

Idąc dalej, w końcu dotarłem do przyćmionego światła niedaleko portu i usłyszałem osamotnione skrzywienie w powietrzu; a podnosząc wzrok, zobaczyłem kołyszący się szyld nad drzwiami z białym malowidłem, ledwie przedstawiającym wysoki, prosty strumień mglistych kropli, oraz te słowa poniżej: "Zajazd Spottera: Peter Coffin."

Trumna? Spouter? Raczej złowieszczo brzmi to w tym kontekście, pomyślałem. Ale to powszechne imię w Nantucket, mówią, i przypuszczam, że ten Peter to emigrant stamtąd. Światło wyglądało na przyćmione, a miejsce zdawało się być na razie wystarczająco ciche, a sam zniszczony drewniany domek wyglądał, jakby został przywieziony stąd z ruin jakiegoś spalonego osiedla, a kołyszący się szyld miał biedny, zubożały dźwięk, więc pomyślałem, że to idealne miejsce na tanie noclegi i najlepszą kawę z grochu.

To było dziwne miejsce – stary dom z dachem w kształcie trójkąta, z jedną stroną jakby sparaliżowaną i smutno pochyloną. Stał na ostrym, wietrznym rogu, gdzie burzliwy wiatr Euroklydon wył jak nigdy wcześniej wokół biednego statku Pawła. Niemniej jednak Euroklydon to przyjemny zefir dla każdego, kto jest w domu, z nogami na kominku, spokojnie grzejąc się przed snem. "Ocena tego burzliwego

wiatru, zwanego Euroklydonem," mówi stary autor, którego dzieła posiadam w jedynym zachowanym egzemplarzu, "ma niezwykle znaczenie, czy patrzysz na niego przez okno ze szkłem, gdzie szron jest tylko na zewnątrz, czy obserwujesz go z okna bez szyb, gdzie szron jest po obu stronach, a jedynym szklarzem jest Waga Śmierci." To prawda, pomyślałem, gdy ten fragment przyszedł mi do głowy – stary gotycki, dobrze rozumujesz. Tak, te oczy to okna, a moje ciało to dom. Jakież to szkoda, że nie zatkali szczelin i dziur, i nie wsadzili tu i ówdzie trochę waty. Ale teraz za późno na jakiegokolwiek poprawki. Wszechświat jest skończony: zwieńczenie jest na miejscu, a odłamki wywieziono milion lat temu. Biedny Łazarz tam, zgrzytający zębami o krawężnik, jako poduszka, i zrzucający swoje łachmany z drzeniem, mógłby zatkać sobie uszy szmatami i włożyć do ust kolbę kukurydzy, a i tak nie powstrzymałby burzliwego Euroklydona. Euroklydon! mówi stary Dives w swoim czerwonym jedwabnym płaszczu (później miał jeszcze czerwiejszy) – o, o! Jaka piękna mroźna noc; jak Orion lśni; jakie północne światła! Niech mówią o swoich orientalnych letnich klimatach z wiecznymi oranżeriami; dajcie mi przywilej stworzenia własnego lata z własnymi węglami.

Ale co myśli Łazarz? Czy może rozgrzać swoje niebieskie dłonie, trzymając je w kierunku wielkich północnych światła? Czy Łazarz nie wolałby być w Sumatrze niż tutaj? Czy nie wolałby leżeć wzdłuż równika; tak, bogowie! zejść do samej ognistej otchłani, aby uchronić się przed tym mrozem?

Teraz, że Łazarz leży tam na krawężniku przed drzwiami Dyvesa, to bardziej zdumiewające niż to, że góra lodowa byłaby zakotwiczona u jednego z Moluków. A jednak Dives sam w sobie żyje jak car w lodowym pałacu z zamrożonych westchnień, a będąc prezydentem towarzystwa abstynenckiego, pije tylko letnie łyżki sierot.

Ale dość już tego płakania, ruszamy na wieloryby, a tego jest jeszcze wiele do przybycia. Zetrzyjmy lód z naszych zmarzniętych stóp i zobaczymy, co to za miejsce ten "Spouter".

Rozdział 3

Zajazd Spoutera.

Wchodząc do tego gable-ended Zajazdu Spoutera, znajdowałeś się w szerokim, wąskim, krętym korytarzu z przestarzałymi boazeriami, przypominającymi burty jakiegoś skazani na zagładę statku. Po jednej stronie wisiał bardzo duży obraz olejny, tak mocno osmolony i w każdej mierze zniszczony, że w nierównych światłach, w jakich go oglądałeś, tylko poprzez staranne badania i szereg systematycznych wizyt oraz dokładne zapytania sąsiadów mogłeś w jakiś sposób zrozumieć jego cel. Tak niepojęte masy cieni, że na początku myślałeś, iż jakiś ambitny młody artysta, w czasach czarownic z Nowej Anglii, próbował przedstawić zaczarowany chaos. Ale dzięki wielu poważnym refleksjom, często powtarzanym przemyśleniom, a szczególnie otwierając małe okno z tyłu korytarza, doszedłeś w końcu do wniosku, że taka myśl, choć dzika, może nie być całkowicie nieuzasadniona.

Jednak to, co najbardziej cię zaskoczyło i zdezorientowało, to długi, giętki, złowieszczy czarny kształt czegoś unoszącego się w centrum obrazu nad trzema niebieskimi, przyćmionymi, pionowymi liniami unoszącymi się w bezimiennej mazi. To rzeczywiście bagienne, mokre, oślizgłe dzieło, wystarczająco, by doprowadzić nerwowego człowieka do szaleństwa. Niemniej jednak, istniał w tym pewien rodzaj nieokreślonej, ledwo osiągniętej, niepojętej wzniosłości, która całkowicie cię do tego przykuła, aż mimowolnie przysięgłeś sobie, że dowiesz się, co to cudowne malowidło oznacza.

Czasami błyskotliwa, ale, niestety, zwodnicza myśl przelatywała przez twoją głowę. To Morze Czarne w nocnej burzy. – To nienaturalna walka czterech pierwotnych żywiołów. – To spustoszone wrzosowisko. – To hiperborejska scena zimowa. – To topnienie lodu w zamrożonej rzece Czasu. Ale w końcu wszystkie te fantazje ustępowały temu jednemu złowiszczemu czemuś w środku obrazu. Gdy TO zostało odkryte, wszystko inne stało się jasne. Ale poczekaj; czy to nie przypomina nieco gigantycznej ryby? Nawet samego wielkiego lewiatana?

W rzeczywistości, zamysł artysty wydawał się taki: moja ostateczna teoria, częściowo oparta na zebranych opiniach wielu starszych osób, z którymi rozmawiałem na ten temat. Obraz przedstawia Cape-Hornera w wielkiej huraganowej burzy; pół zatopiony statek miotający się tam z trzema zdemontowanymi masztami widocznymi; a rozwścieczony wieloryb, zamierzający skoczyć całkowicie nad statkiem, znajduje się w ogromnym akcie impalowania się na trzech szczytach masztów.

Przeciwległa ściana tego korytarza była w całości pokryta pogańskim zbiorem potwornych kijów i włóczni. Niektóre były gęsto osadzone błyszczącymi oczami przypominającymi kości słoniowej; inne były ozdobione węzłami ludzkich włosów; a jeden miał kształt sierpa, z ogromnym uchwytem skręcającym się jak segment zrobiony przez długorękiego kosiarza na świeżo skoszonej trawie. Drżałeś, gdy patrzyłeś, i zastanawiałeś się, jaki potworny kanibal i dzikus mógł kiedykolwiek zbierać śmierć za pomocą tak przerażającego narzędzia. Wśród nich znajdowały się rdzawe, stare włócznie i harpuny, wszystkie złamane i zniekształcone. Niektóre to broń z historią. Tą kiedyś długą włócznią, teraz dziko wygiętą, Nathan Swain zabił piętnaście wielorybów między wschodem a zachodem słońca pięćdziesiąt lat temu. A ten harpun – tak przypominający korkociąg – został rzucony w morza Jawy, a potem porwany przez wieloryba, który został zabity lata później u Przylądka Blanco. Oryginalne żelazo weszło blisko ogona i, jak niespokojna igła w ciele człowieka, przebyło pełne czterdzieści stóp, a ostatecznie znaleziono je wbite w garb.

Przechodząc przez ten ciemny korytarz i przez niski, łukowaty otwór – wycięty w tym, co w dawnych czasach musiało być wielkim centralnym kominem z kominkami wokół, wchodzisz do publicznego pomieszczenia. To jeszcze ciemniejsze miejsce, z niskimi, ciężkimi belkami nad głową i starymi, pomarszczonymi deskami pod nogami, że prawie można by pomyśleć, iż stąpasz po wnętrzu starego statku, zwłaszcza w czasie, gdy ten zakotwiczony stary arka tak gwałtownie się kołysała. Po jednej stronie stał długi, niski, półkowy stół pokryty pękniętymi szklanymi gablotami, wypełnionymi zakurzonymi rarytasami z najodleglejszych zakątków tego szerokiego świata. W kręgu pokoju, w dalszym rogu, znajduje się ciemne gniazdo – zgrubne próby przedstawienia głowy wieloryba. Jakby tam nie było, stoi tam ogromna, łukowata kość żuchwy wieloryba, tak szeroka, że prawie można pod nią przejechać powozem. Wewnątrz są obskurne półki, wypełnione starymi karafkami, butelkami, fiolkami; a w tych szczękach szybkiej zagłady, jak inny przeklęty Jonasz (pod tym imieniem go rzeczywiście nazywają), krząta się mały, zwiędły staruszek, który za ich pieniądze drogo sprzedaje mary i śmierć żeglarzom.

Ohydne są szklanki, do których wlewa swój truciznę. Choć z zewnątrz prawdziwe cylindry, od wewnątrz, nikczemne zielone, wytrzeszczone szkła oszukańczo zwężają się ku dołowi. Równoległe południki grubymi liniami wryte w szkło otaczają te kieliszki złodziei. Napełnij do TEJ linii, a twój rachunek wynosi tylko pensa; do TEJ o pensa więcej; i tak dalej, aż do pełnej szklanki – miara Przyłądka Horn, którą możesz wypić za szyling.

Po wejściu do lokalu znalazłem grupę młodych marynarzy zgromadzonych wokół stołu, przy słabym świetle badających różne okazy SCRIMSHANDER. Poszukałem gospodarza i mówiąc mu, że chciałbym wynająć pokój, usłyszałem w odpowiedzi, że jego dom jest pełen – nie ma wolnego łóżka. "Ale chwileczkę," dodał, stukając się w czoło, "nie masz nic przeciwko dzieleniu się kocem harpuna, prawda? Przypuszczam, że idziesz na wieloryby, więc lepiej przyzwyczaj się do tego rodzaju rzeczy."

Powiedziałem mu, że nigdy nie lubiłem spać we dwoje w jednym łóżku; że jeśli kiedykolwiek bym to zrobił, zależałoby to od tego, kim byłby harpooner, a jeśli on (gospodarz) naprawdę nie ma innego miejsca dla mnie, a harpooner nie jest zdecydowanie nieodpowiedni, to raczej niż błąkać się po obcym mieście w tak mroźną noc, zniosę połowę koca każdego przyzwoitego człowieka.

"Tak myślałem. Dobrze; usiądź. Kolacja? Chcesz kolację? Kolacja będzie gotowa za chwilę."

Usiadłem na starym, drewnianym siedzisku, rzeźbionym na całej powierzchni, jak ławka na Battery. Na jednym końcu siedział zamyślony marynarz, który dodatkowo ozdobił to miejsce swoim scyzorykiem, pochylając się i pilnie pracując nad przestrzenią między nogami. Próbował zrobić statek pod pełnymi żaglami, ale nie szło mu zbyt dobrze, pomyślałem.

W końcu wezwano nas, czterech lub pięciu, do posiłku w sąsiednim pomieszczeniu. Było zimno jak na Islandii – żadnego ognia, gospodarz powiedział, że go na to nie stać. Tylko dwie ponure świece z tkaniny. Musieliśmy zapiąć nasze kurtki i trzymać w dłoniach filiżanki gorącej herbaty, mając zziębnięte palce. Ale jedzenie było bardzo porządne – nie tylko mięso i ziemniaki, ale i pierogi; dobry Boże! pierogi na kolację! Jeden młody facet w zielonej kurtce zwrócił się do tych pierogów w najbardziej przerażający sposób.

"Mój chłopcze," powiedział gospodarz, "będziesz miał koszmary na pewno."

"Gospodarzu," szepnąłem, "to nie jest harpooner, prawda?"

"Oh, nie," odparł, wyglądając na diabelsko zabawnego, "harpooner to ciemnoskóry facet. On nigdy nie je pierogów, on je tylko steki i lubi je krwiste."

„Diabeł wie, że tak,” mówię. „Gdzie jest ten harpooner? Jest tutaj?”

„Będzie tutaj za chwilę,” brzmiała odpowiedź.

Nie mogłem się powstrzymać, ale zacząłem czuć podejrzenia wobec tego „ciemnoskórego” harpuna. Tak czy inaczej, postanowiłem, że jeśli okaże się, że będziemy spać razem, to on musi się rozebrać i położyć do łóżka przede mną.

Po kolacji towarzystwo wróciło do baru, a ja, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, postanowiłem spędzić resztę wieczoru jako widz.

Wkrótce usłyszał hałas na zewnątrz. Gospodarz podskoczył i zawołał: „To załoga Grampusa. Widziałem ją z rana w odległości; trzyletni rejs i pełny statek. Hurra, chłopaki; teraz będziemy mieli najnowsze wieści z Fugees.”

Usłyszał kroki morskich butów w korytarzu; drzwi się otworzyły, a do środka wpadła dzika grupa marynarzy. W ich szarych kurtkach i z głowami owiniętymi we włókniste szale, wszystkie podarte i zniszczone, a ich brody sztywne od sopli, wyglądali jak erupcja niedźwiedzi z Labradoru. Dopiero co wyszli ze swojej łodzi,

a to był pierwszy dom, do którego weszli. Nic dziwnego, że prosto ruszyli w stronę baru, gdzie zmarszczony stary Jonasz, który tam pełnił swoje obowiązki, szybko nalał im pełne kufle. Jeden z nich skarżył się na katar, na co Jonasz wymieszał mu coś w rodzaju mikstury z ginu i melasy, którą przysięgał, że to cudowny środek na wszelkie przeziębienia i katar, nieważne jak długo trwały, czy złapane u wybrzeży Labradoru, czy po wietrznej stronie lodowej wyspy.

Alkohol szybko dotarł do ich głów, jak to zazwyczaj bywa nawet w przypadku największych pijaków świeżo przybyłych z morza, i zaczęli szaleć w najbardziej hałaśliwy sposób.

Zauważyłem jednak, że jeden z nich trzymał się nieco z boku, i chociaż wydawał się pragnąć nie psuć radości swoim towarzyszom swoją poważną twarzą, to jednak w całości powstrzymywał się od robienia tyle hałasu, co reszta. Ten człowiek od razu mnie zainteresował; a ponieważ bogowie morscy postanowili, że wkrótce zostanie moim towarzyszem na statku (choć tylko w roli śpiącego współnika, jeśli chodzi o tę narrację), postanowiłem tu pokusić się o mały opis jego osoby. Miał pełne sześć stóp wzrostu, szlachetne ramiona i klatkę piersiową jak grodzisko. Rzadko widziałem taką siłę u mężczyzny. Jego twarz była głęboko brązowa i opalona, co sprawiało, że jego białe zęby olśniewały kontrastem; w głębokich cieniach jego oczu unosiły się wspomnienia, które zdawały się nie dawać mu wiele radości. Jego głos od razu zdradzał, że był Południowcem, a z jego pięknej postury pomyślałem, że musi być jednym z tych wysokich górali z grzbietu Alleghanians w Wirginii. Kiedy radosna atmosfera jego towarzyszy osiągnęła szczyt, ten człowiek niezauważony wymknął się, a ja nie widziałem go więcej, aż stał się moim towarzyszem na morzu. Jednak po kilku minutach zauważono jego brak wśród załogi, a ponieważ, jak się wydaje, był z jakiegoś powodu ogromnym ulubieńcem, podnieśli krzyk „Bulkington! Bulkington! Gdzie jest Bulkington?” i wybiegli z domu, by go ścigać.

Była teraz około dziewiątej, a pokój wydawał się prawie nadprzyrodzenie cichy po tych orgiach, więc zacząłem gratulować sobie małego planu, który nasunął mi się tuż przed wejściem marynarzy.

Nikt nie woli spać we dwoje w jednym łóżku. W rzeczywistości wolałbyś raczej nie spać z własnym bratem. Nie wiem, jak to jest, ale ludzie lubią mieć prywatność, gdy śpią. A gdy chodzi o spanie z nieznanym w obcym pensjonacie, w obcym mieście, a ten nieznanomy to harpooner, wtedy Twoje obiekcje mnożą się w nieskończoność. Nie było też żadnego ziemskiego powodu, dla którego jako marynarz miałbym spać we dwoje w łóżku, bardziej niż ktokolwiek inny; marynarze nie śpią w dwóch łóżkach na morzu, tak samo jak

kawalerski królowie nie robią tego na lądzie. Oczywiście wszyscy śpią razem w jednym pomieszczeniu, ale masz swoją własną hamak, przykrywasz się swoim kocem i śpisz w swojej własnej skórze.

Im więcej rozmyślałem o tym harpune, tym bardziej nienawidziłem myśli o spaniu z nim. Można było słusznie przypuszczać, że jako harpooner jego bielizna lub wełna, w zależności od przypadku, nie była zbyt czysta, a na pewno nie z najlepszej jakości. Zaczynałem się trząść na całym ciele. Poza tym robiło się późno, a mój porządny harpooner powinien już być w domu i zmierzać do łóżka. A co, jeśli wpadnie na mnie o północy – skąd mógłbym wiedzieć, z jakiego ohydneho miejsca przybył?

„Gospodarzu! Zmieniłem zdanie co do tego harpuna. Nie będę spał z nim. Spróbuję tej ławki tutaj.”

„Jak sobie życzysz; przykro mi, że nie mogę ci dać obrus na materac, a ta deska jest strasznie chropowata” – czując w dotyku węzły i wyżłobienia. „Ale poczekaj chwilę, Scrimshander; mam w barze strugarkę, poczekaj, mówię, i zrobię ci wygodnie.” Tak mówiąc, przyniósł strugarkę; a najpierw, używając swojej starej jedwabnej chusteczki, zetrzeć kurz z ławki, energicznie zabrał się do strugania mojego łóżka, uśmiechając się jak mała. Wióry leciały w prawo i w lewo; aż w końcu ostrze strugarki trafiło na niezdobytą gałąź. Gospodarz prawie skręcił sobie nadgarstek, a ja powiedziałem mu, żeby na miłość boską przestał – łóżko było wystarczająco miękkie, a ja nie wiedziałem, jak całe struganie na świecie mogłoby zamienić sosnową deskę w puch.

Zbierając wióry z uśmiechem, wrzucił je do dużego pieca na środku pokoju, zajął się swoimi sprawami i zostawił mnie w zamyśleniu.

Teraz zmierzyłem ławkę i stwierdziłem, że jest o stopę za krótka; ale to można naprawić krzesłem. Ale była też o stopę za wąska, a druga ławka w pokoju była około czterech cali wyższa od odeskowanej, więc nie dało się ich połączyć. Postawiłem więc pierwszą ławkę wzdłuż jedynej wolnej przestrzeni przy ścianie, zostawiając małą przerwę, żeby móc oprzeć się plecami. Ale wkrótce zauważyłem, że z podparcia okna leciał na mnie zimny powiew, więc ten plan w ogóle się nie sprawdzi, tym bardziej że inny przeciąg z chwiejnych drzwi spotkał się z tym z okna, a razem tworzyły serię małych wirów w bezpośredniej okolicy miejsca, gdzie zamierzałem spędzić noc.

„Niech diabły wezmą tego harpuna,” pomyślałem, ale chwileczkę, czy nie mógłbym go przechytrzyć, zamknąć drzwi od środka i wskoczyć do jego łóżka,

nie budząc się przy najgłośniejszych stukaniach? To nie wydawało się złym pomysłem; ale po głębszym namyśle odrzuciłem go. Bo kto mógłby wiedzieć, że następnego ranka, gdy tylko wyjdę z pokoju, harpooner mógłby stać w korytarzu, gotowy, by mnie powalić!

Jednakże, znowu rozglądając się wokół i nie widząc żadnej możliwości spędzenia znośnej nocy, chyba że w łóżku innej osoby, zacząłem myśleć, że może żywię nieuzasadnione uprzedzenia wobec tego nieznanego harpuna. Pomyślałem, że poczekam chwilę; musi wkrótce wrócić. Wtedy przyjrzeć się mu dobrze, a może w końcu staniemy się dobrymi towarzyszami do spania – nigdy nie wiadomo.

Ale chociaż inni goście wchodzili pojedynczo, parami i w trójki, i kładli się spać, nie było żadnego znaku mojego harpuna.

„Gospodarzu!” powiedziałem, „jaki to człowiek – czy zawsze tak późno wraca?” Teraz było tuż przed dwunastą.

Gospodarz znowu się zaśmiał swoim chudym śmiechem i wydawał się być bardzo rozbawiony czymś, co było poza moim zrozumieniem. „Nie,” odpowiedział, „zwykle jest wczesnym ptaszkiem – wcześniej się kładzie i wcześniej wstaje, tak, on jest ptakiem, który łapie robaki. Ale dzisiaj wieczorem wyszedł na targ, widzisz, i nie wiem, co na ziemi trzyma go tak długo, chyba że, może, nie może sprzedać swojej głowy.”

„Nie może sprzedać swojej głowy? Co to za absurdalna historia, którą mi opowiadasz?” wpadłem w ogromny gniew. „Czyżbyś, gospodarzu, sugerował, że ten harpooner rzeczywiście zajmuje się w tę błogosławioną sobotnią noc, a raczej w niedzielny poranek, sprzedawaniem swojej głowy w tym mieście?”

„Dokładnie tak,” odpowiedział gospodarz, „i powiedziałem mu, że nie może jej tutaj sprzedać, bo rynek jest przesycony.”

„Czym?” krzyknąłem.

„Głowami, oczywiście; czyż nie ma zbyt wielu głów na świecie?”

„Mówię ci, gospodarzu,” powiedziałem całkiem spokojnie, „lepiej przestań pleść mi te bzdury – nie jestem naiwny.”

„Może i nie,” wyjmując kijek i strugające wykałaczkę, „ale raczej zgaduję, że będziesz miał kłopoty, jeśli ten harpuner usłyszy, że znieślawiasz jego głowę.”

„Złamię mu ją,” powiedziałem, znów wpadając w pasję na tę niezrozumiałą bzdurę gospodarza.

„Jest już złamana,” odparł.

„Złamana,” powiedziałem, „złamana, masz na myśli?”

„Pewnie, i to jest właśnie powód, dla którego nie może jej sprzedać, przypuszczam.”

„Gospodarzu,” powiedziałem, zbliżając się do niego tak spokojnie, jak Mt. Hecla w śnieżycy, „gospodarzu, przestań strugać. Musimy się zrozumieć, i to niezwłocznie. Przyjeżdżam do twojego domu i chcę łóżka; mówisz mi, że możesz mi dać tylko połowę łóżka; że druga połowa należy do pewnego harpuna. A o tym harpune, którego jeszcze nie widziałem, wciąż opowiadasz mi najbardziej tajemnicze i irytujące historie, które mają wzbudzić we mnie nieprzyjemne uczucie wobec człowieka, którego przeznaczasz na mojego towarzysza do spania – rodzaj połączenia, gospodarzu, które jest intymne i poufne w najwyższym stopniu. Teraz żądam od ciebie, abyś się otworzył i powiedział mi, kim i czym jest ten harpooner, i czy w każdym względzie będę bezpieczny, spędzając z nim noc. A w pierwszej kolejności, proszę, cofnij tę historię o sprzedaży jego głowy, która, jeśli prawdziwa, daje mi powód, aby sądzić, że ten harpooner jest zupełnie szalony, a nie mam zamiaru spać z szaleńcem; a ty, panie, mam na myśli ciebie, gospodarzu, ty, panie, próbując skłonić mnie do tego świadomie, narażasz się na odpowiedzialność karną.”

„Ściano,” powiedział gospodarz, biorąc głęboki oddech, „to dość długa historia dla faceta, który czasem trochę się upija. Ale spokojnie, spokojnie, ten harpooner, o którym ci mówiłem, właśnie wrócił z południowych mórz, gdzie kupił masę balsamowanych głów z Nowej Zelandii (wielkie curiosa, wiesz), i sprzedał już wszystkie oprócz jednej, a tę jedną próbuje sprzedać dziś wieczorem, bo jutro jest niedziela, a nie wypada sprzedawać ludzkich głów po ulicach, gdy ludzie idą do kościołów. Chciał to zrobić w zeszłą niedzielę, ale zatrzymałem go, gdy wychodził z czterema głowami zawieszonymi na sznurku, jakby to była girlandka cebuli.”

Ta opowieść wyjaśniła inaczej niepojętą tajemnicę i pokazała, że gospodarz wcale nie miał zamiaru mnie oszukiwać, ale jednocześnie co mogłem myśleć o

harpune, który spędza sobotni wieczór aż do świętej niedzieli, zajmując się takim kanibalistycznym interesem, jak sprzedaż głów martwych idolarii?

„Możesz być pewny, gospodarzu, że ten harpooner to niebezpieczny człowiek.”

„Płaci regularnie,” odparł. „Ale chodź, robi się strasznie późno, lepiej, żebyś się kładł – to przyjemne łóżko; Sal i ja spaliśmy w tym łóżku w noc, gdy się pobraliśmy. Jest mnóstwo miejsca dla dwóch osób w tym łóżku; to naprawdę wielkie łóżko. Zanim je oddaliśmy, Sal wkładała naszego Sama i małego Johnny’ego na nogi. Ale pewnej nocy miałem sen i przewracałem się, i w jakiś sposób Sam wylądował na podłodze i prawie złamał rękę. Po tym Sal powiedziała, że to nie zadziała. Chodź, dam ci świeczkę za chwilę,” i mówiąc to, zapalił świeczkę i trzymał ją w moją stronę, oferując, że poprowadzi mnie. Ale stałem niezdecydowany; gdy spojrzał na zegar w rogu, zawołał: „Rany, to niedziela! Nie zobaczysz tego harpuna dzisiaj wieczorem; musiał gdzieś zacumować – chodź już; przychodź; nie przyjdiesz?”

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem poszliśmy na górę, a ja zostałem wprowadzony do małego pokoju, zimnego jak maź, a umeblowanego, rzeczywiście, z ogromnym łóżkiem, prawie wystarczająco dużym dla czterech harpunów do spania obok siebie.

„Proszę,” powiedział gospodarz, stawiając świeczkę na szalonym, starym skrzyni morskim, który pełnił podwójną rolę jako umywalka i stół centralny, „proszę, zrób sobie wygodnie i dobranoc.” Odwróciłem się, żeby spojrzeć na łóżko, ale on już zniknął.

Złożywszy kołdrę, pochylałem się nad łóżkiem. Choć nie było najpiękniejsze, to jednak całkiem dobrze znosiło oględziny. Spojrzałem wokoło pokoju; poza łóżkiem i stołem centralnym nie widziałem żadnych innych mebli, oprócz surowej półki, czterech ścian i obudowy kominka pokrytej papierem, przedstawiającej męczyznę walczącego z wielorybem. Z rzeczy, które nie należały właściwie do pokoju, była tam hamak przewieszony i rzucony w kąt na podłodze; także duża torba marynarska, zawierająca garderobę harpuna, zapewne zamiast kufra. Na półce nad kominkiem leżał również pakunek dziwacznych haczyków rybnych z kości, a przy wezgielciu łóżka stał wysoki harpun.

Ale co to jest na skrzyni? Podniosłem to, trzymając blisko światła, dotykałem tego, wachałem i próbowałem wszelkimi sposobami dojść do jakiegoś satysfakcjonującego wniosku na ten temat. Nie mogłem tego porównać do niczego innego jak do dużego wycieraczki, ozdobionej na brzegach małymi

dzwoneczkami, coś jak przebarwione kolczaste igły wokół indiańskich mokasynów. W środku tej wycieraczki był otwór lub szczelina, jak to widać w ponchos z Ameryki Południowej. Ale czy możliwe, że jakiś trzeźwy harpooner założyłby wycieraczkę i paradował po ulicach jakiegoś chrześcijańskiego miasta w takim przebraniu? Założyłem ją, żeby spróbować, i ważyła mnie jak kosz, była niezwykle kudłata i gruba, a wydawała się trochę wilgotna, jakby ten tajemniczy harpooner nosił ją w deszczowy dzień. Podszedłem w niej do kawałka lustra przyczepionego do ściany i nigdy w życiu nie widziałem takiego widoku. Wyciąłem się z niej tak szybko, że nadwyrężyłem sobie szyję.

Usiadłem na krawędzi łóżka i zacząłem myśleć o tym harpune sprzedającym głowy i jego wycieraczce. Po pewnym czasie myślenia na boku łóżka wstałem, zdjąłem swoją kurtkę, a potem stałem na środku pokoju, myśląc. Następnie ściągnąłem płaszcz i myślałem jeszcze trochę w samych rękawach koszuli. Ale zaczynając odczuwać zimno, pół przyodziały, i przypominając sobie, co powiedział gospodarz o tym, że harpooner wcale nie wróci tej nocy, bo jest już bardzo późno, nie zwlekałem dłużej, tylko wskoczyłem w majtki i buty, a potem, zdmuchując światło, wrzuciłem się do łóżka i powierzyłem się opiece nieba.

Nie wiem, czy to łóżko było wypełnione kukurydzianymi kolbami czy stłuczonymi naczyniami, ale przewracałem się sporo i przez długi czas nie mogłem zasnąć. W końcu zapadłem w lekki sen i prawie udało mi się dotrzeć do krainy snów, gdy usłyszałem ciężkie kroki na korytarzu i zobaczyłem migotanie światła, które wchodziło do pokoju spod drzwi.

„Boże ratuj mnie,” pomyślałem, „to musi być harpooner, ten piekielny sprzedawca głów.” Ale leżałem całkowicie nieruchomo, postanawiając nie powiedzieć ani słowa, dopóki ktoś się do mnie nie zwróci. Trzymając w jednej ręce światło, a w drugiej tę samą nowozelandzką głowę, obcy wszedł do pokoju i, nie patrząc w stronę łóżka, postawił swoją świeczkę w pewnej odległości na podłodze w jednym rogu, a następnie zaczął pracować nad węzłami dużej torby, o której wcześniej wspominałem. Byłem bardzo ciekawy, aby zobaczyć jego twarz, ale przez jakiś czas trzymał ją odwróconą, zajmując się rozwiązywaniem zamknięcia torby. Gdy to w końcu mu się udało, obrócił się – a cóż za widok! Taka twarz! Miała ciemny, purpurowo-żółty kolor, w niektórych miejscach pokryta dużymi, czarnymi plamami. Tak, jak myślałem, jest strasznym towarzyszem do spania; był w walce, okropnie pokaleczony, a teraz wrócił od chirurga. Ale w tym momencie przypadkiem obrócił twarz w stronę światła, że wyraźnie zobaczyłem, iż te czarne plamy na jego policzkach wcale nie były plastrami. To były jakieś plamy. Na początku nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale wkrótce nasunęła mi się myśl o prawdzie. Przypomniałem sobie historię o białym wielorybniku, który

wpadł w ręce kanibali i został przez nich wytatuowany. Doszedłem do wniosku, że ten harpooner musiał w trakcie swoich dalekich podróży spotkać się z podobną przygodą. A co z tym wszystkim, pomyślałem! To tylko jego zewnętrzna powłoka; człowiek może być uczciwy w każdej skórze. Ale co z jego niezwykłym odcieniem, tym jego kolorem, który leżał wokół i był całkowicie niezależny od tatuaży? Oczywiście, mogło to być nic innego jak dobra opalenizna tropikalna; ale nigdy nie słyszałem o tym, żeby gorące słońce opaliło białego człowieka na purpurowo-żółty kolor. Jednak nigdy nie byłem na Południowych Morzach; może słońce tam wywołuje takie niezwykłe efekty na skórze. Podczas gdy wszystkie te myśli przelatywały przez moją głowę jak błyskawice, ten harpooner w ogóle mnie nie zauważył. Po pewnych trudnościach otworzył swoją torbę, zaczął w niej grzebać, a wkrótce wyciągnął coś w rodzaju tomahawka i portfel z foczej skóry, z włosami. Położył te rzeczy na starej skrzyni na środku pokoju, a następnie wziął nowozelandzką głowę – straszny widok – i wcisnął ją do torby. Teraz zdjął swój kapelusz – nowy kapelusz z bobra – co sprawiło, że prawie krzyknąłem z nowego zaskoczenia. Na jego głowie nie było włosów – przynajmniej nic, co można by nazwać włosami – tylko mały węzeł skóry na jego czole. Jego łysa, purpurowa głowa wyglądała jak spleśniała czaszka. Gdyby nie to, że obcy stał między mną a drzwiami, wybiegł bym z pokoju szybciej, niż kiedykolwiek wyskoczyłem na obiad.

Nawet w tej sytuacji myślałem o tym, żeby wyskoczyć przez okno, ale to był drugi piętro. Nie jestem tchórzem, ale całkowicie nie mogłem pojąć tego sprzedawcy głów o purpurowej skórze. Ignorancja jest matką strachu, a będąc całkowicie zaskoczony i skonfundowany przez obcego, przyznaję, że bałem się go teraz tak bardzo, jakbym miał do czynienia z samym diabłem, który w nocy wdarł się do mojego pokoju. W rzeczywistości bałem się go tak bardzo, że nie miałem odwagi, by się do niego odezwać i zażądać satysfakcjonującej odpowiedzi na to, co wydawało się w nim niewytłumaczalne.

Tymczasem on kontynuował rozbieranie się i w końcu pokazał swoją klatkę piersiową i ramiona. Na żywca, te zakryte części jego ciała były w kratkę, tak jak jego twarz; jego plecy również były całe pokryte tymi samymi ciemnymi kwadratami; wydawało się, że przeszedł przez Trzydziestoletnią Wojnę i właśnie udało mu się z niej uciec z opatrunkiem. Co więcej, nawet jego nogi były oznaczone, jakby stado ciemnozielonych żab biegło po pniach młodych palm. Teraz stało się całkowicie jasne, że musiał być jakimś ohydny dzikus, który wsiadł na statek wielorybiczny w Południowych Morzach i w ten sposób trafił do tego chrześcijańskiego kraju. Drżałem na myśl o tym. Sprzedawca głów, może nawet głów swoich własnych braci. Może zechce spojrzeć na moją – niebo! Zobacz na ten tomahawk!

Ale nie było czasu na drżenie, ponieważ teraz dzikus zajął się czymś, co całkowicie przyciągnęło moją uwagę i przekonało mnie, że musi być rzeczywiście poganinem. Podchodząc do swojej ciężkiej peleryny, którą wcześniej powiesił na krześle, grzebał w kieszeniach i w końcu wyciągnął ciekawy, mały, zdeformowany posążek z garbem na plecach, dokładnie w kolorze trzydniowego kongijskiego dziecka. Przypominając sobie embalowaną głowę, na początku prawie pomyślałem, że ten czarny manekin to prawdziwe dziecko zachowane w podobny sposób. Ale widząc, że wcale nie jest giętki i że błyszczy jak polerowany heban, doszedłem do wniosku, że to nie może być nic innego jak drewniany idol, co w rzeczy samej okazało się prawdą. Teraz dzikus podchodzi do pustego kominka, zdejmując papierową osłonę kominka i stawia ten mały, garbaty posążek, jak dziesiątkę, między żeliwnymi wspornikami. Ściany komina i wszystkie cegły w środku były bardzo brudne od sadzy, więc pomyślałem, że ten kominek stanowi bardzo odpowiednią małą kapliczkę dla jego kongijskiego idola.

Teraz mocno wyteżyłem oczy w kierunku pół ukrytego posążka, czując się bardzo nieswojo, oczekując, co się wydarzy dalej. Najpierw wyciągnął z kieszeni peleryny dużą garść wiórów i starannie położył je przed idolem; następnie położył kawałek sucharka na wierzchu i, używając płomienia z lampy, podpalił wióry, tworząc ofiarny płomień. Po chwili, po wielu szybkich próbach sięgnięcia do ognia i jeszcze szybszych wycofywanych palców (przez co zdawało się, że się poparzył), w końcu udało mu się wyciągnąć sucharek; potem, lekko dmuchając na ciepło i popiół, grzecznie zaoferował go małemu czarnoskóremu posążki. Ale ten mały diabeł wcale nie wydawał się zainteresowany takim suchym jedzeniem; nawet nie poruszył ustami. Wszystkie te dziwaczne sztuczki towarzyszyły jeszcze dziwniejsze gardłowe dźwięki ze strony oddającego cześć, który zdawał się modlić w jakimś śpiewnym stylu lub śpiewać jakąś pogańską psalmody, podczas której jego twarz drgała w najbardziej nienaturalny sposób. W końcu, gasząc ogień, wziął idola bardzo bezceremonialnie i z powrotem wrzucił go do kieszeni peleryny, tak jakby był myśliwym pakującym martwego bażanta.

Wszystkie te dziwaczne działania zwiększały moje niewygodne uczucie, a widząc, że teraz wykazuje silne oznaki kończenia swoich operacji i skacze do łóżka ze mną, pomyślałem, że nadszedł najwyższy czas, teraz albo nigdy, zanim światło zostanie zgaszone, aby przerwać czar, w którym tak długo byłem uwięziony. Ale czas, jaki spędziłem na rozważaniu, co powiedzieć, okazał się fatalny. Podnosząc swój tomahawk z stołu, przez chwilę badał jego ostrze, a potem, trzymając go do światła, z ust na rękojeści, wypuścił wielkie chmury dymu tytoniowego. W następnej chwili światło zgasło, a ten dziki kanibal, trzymając

tomahawk między zębami, skoczył do łóżka ze mną. Wykrzyknąłem, nie mogłem się powstrzymać; a wydając nagły pomruk zdziwienia, zaczął mnie obmacywać.

Jąc coś, nie wiedziałem co, przewróciłem się w jego stronę wzdłuż ściany, a następnie poprosiłem go, kimkolwiek lub czymkolwiek był, aby zachował spokój i pozwolił mi wstać i znowu zapalić lampę. Ale jego gardłowe odpowiedzi szybko przekonały mnie, że wcale nie rozumie mojego zamysłu.

„Kto ty, debel?” w końcu powiedział „nie mówisz, dam ci, zabiję.” I tak mówiąc, rozkwitał tomahawk wokół mnie w ciemności.

„Gospodarzu, na miłość boską, Peter Coffin!” krzyknąłem. „Gospodarzu! Uważaj! Coffin! Anioły! Ratuj mnie!”

„Mów! Powiedz mi, kim jesteś, albo dam ci, zabije!” znowu warknął kanibal, podczas gdy jego przerażające machanie tomahawkiem rozrzucało gorący tytoniowy popiół wokół mnie, aż myślałem, że moja bielizna się zapali. Ale dzięki niebu, w tym momencie gospodarz wszedł do pokoju z lampą w ręku, a ja, wyskakując z łóżka, pobiegłem do niego.

„Nie bój się teraz,” powiedział, znowu się uśmiechając, „Queequeg nie skrzywdzi cię nawet na włosku.”

„Przestań się uśmiechać,” krzyknąłem, „dlaczego nie powiedziałaś mi, że ten piekielny harpooner to kanibal?”

„Myślałem, że już o tym wiesz; czy nie mówiłem ci, że sprzedaje głowy po mieście? Ale wracaj do snu. Queequeg, patrz, ty mnie rozumiesz, ja ciebie rozumiem, ten człowiek śpi, rozumiesz?”

„Ja rozumiem, dużo,” wymamrotał Queequeg, zaciągając się dymem z fajki i siadając w łóżku.

„Wejdz,” dodał, wskazując na mnie swoim tomahawkiem i odsuwając kołdrę na bok. Naprawdę zrobił to w sposób nie tylko grzeczny, ale i naprawdę uprzejmy oraz charytatywny. Stałem przez chwilę, patrząc na niego. Pomimo wszystkich jego tatuaży, był ogólnie rzecz biorąc, czystym i przystojnym kanibalem. Co za zamieszanie robiłem, pomyślałem, ten człowiek jest istotą ludzką, taką jak ja: ma tyle samo powodów, by się mnie bać, ile ja mam, by bać się jego. Lepiej spać z trzeźwym kanibalem niż z pijanym chrześcijaninem.

„Gospodarzu,” powiedziałem, „powiedz mu, żeby odłożył ten tomahawk, czy fajkę, czy jak to tam nazywasz; powiedz mu, żeby przestał palić, krótko mówiąc, a ja się z nim położę. Ale nie podoba mi się myśl o mężczyźnie palącym w łóżku ze mną. To niebezpieczne. Poza tym, nie mam ubezpieczenia.”

Po przekazaniu tego Queequegowi, natychmiast się zgodził i znowu grzecznie gestykulował, bym wszedł do łóżka – przewracając się na bok, jakby chciał powiedzieć: „Nie dotknę cię nogą.”

„Dobranoc, gospodarzu,” powiedziałem, „możesz iść.”

Zasnąłem i nigdy w życiu nie spałem lepiej.

Rozdział 4

Kołdra

Gdy obudziłem się następnego ranka około świtu, znalazłem ramię Queequeg rzucone na mnie w najbardziej kochający i czuły sposób. Można by pomyśleć, że jestem jego żoną. Kołdra była zrobiona z patchworku, pełna dziwnych, kolorowych kwadratów i trójkątów; a to ramię, całe pokryte tatuażami w niekończącym się kreteńskim labiryncie, w którym żadna część nie miała jednego, dokładnego odcienia – co, przypuszczam, było wynikiem tego, że trzymał ramię na morzu w sposób nieuporządkowany, wystawiając je na słońce i cień, a rękawy jego koszuli były nieregularnie podwinięte w różnych momentach – to samo ramię, jak mówię, wyglądało jak pasek tej samej kołdry patchworkowej. Rzeczywiście, leżąc na nim, tak jak ramię leżało, gdy się obudziłem, ledwo mogłem odróżnić je od kołdry, tak bardzo ich kolory się przeplatały; i tylko dzięki poczuciu ciężaru i nacisku mogłem stwierdzić, że Queequeg mnie obejmuje.

Moje odczucia były dziwne. Pozwól, że spróbuję je wyjaśnić. Gdy byłem dzieckiem, doskonale pamiętam pewną podobną okoliczność, która mi się przydarzyła; czy to była rzeczywistość, czy sen, nigdy nie mogłem całkowicie ustalić. Okoliczność była taka. Próbowiałem wspiąć się na komin, jak widziałem, że robi to mały kominiarz kilka dni wcześniej; a moja macocha, która w jakiś sposób ciągle mnie biła lub wysyłała do łóżka bez kolacji, złapała mnie za nogi i wyciągnęła z komina, a następnie posłała mnie do łóżka, chociaż była dopiero druga po południu 21 czerwca, najdłuższego dnia w roku na naszej półkuli. Czuję się okropnie. Ale nie było na to rady, więc poszedłem na górę do mojego małego pokoju na trzecim piętrze, rozbierałem się jak najwolniej, aby zabić czas, a z gorzkim westchnieniem wślizgnąłem się pod kołdrę.

Leżałem tam ponuro, obliczając, że muszą upłynąć całe szesnaście godzin, zanim będę mógł liczyć na zmartwychwstanie. Szesnaście godzin w łóżku! Mały

odcinek mojego pleców bolał na samą myśl o tym. A było tak jasno; słońce świeciło przez okno, słychać było głośne stukoty powozów na ulicy oraz radosne głosy w całym domu. Czułem się coraz gorzej - w końcu wstałem, ubrałem się i, cicho stąpając w skarpetkach, poszukałem mojej macochy i nagle rzuciłem się u jej stóp, błagając ją jako szczególną przysługę, by dała mi porządnego klapsa za moje złe zachowanie; cokolwiek, byle tylko nie skazywała mnie na leżenie w łóżku przez tak nieznośnie długi czas. Ale była najlepszą i najbardziej sumienną macochą, więc musiałem wrócić do swojego pokoju.

Przez kilka godzin leżałem tam szeroko przebudzony, czując się znacznie gorzej niż kiedykolwiek od tamtego czasu, nawet w obliczu największych późniejszych nieszczęść. W końcu musiałem zapaść w niespokojny koszmarne sen; powoli budząc się z niego - w półśnie - otworzyłem oczy, a wcześniej oświetlony przez słońce pokój był teraz owinięty w zewnętrzną ciemność. Natychmiast poczułem szok przebiegający przez całe moje ciało; nic nie było widać i nic nie było słychać; ale zdawało się, że nadprzyrodzona ręka spoczywa w mojej. Moje ramię zwisało nad kołdrą, a bezimienna, niewyobrażalna, cicha postać lub widmo, do którego należała ta ręka, zdawało się siedzieć blisko mojego łóżka.

Przez to, co wydawało się wiecznością, leżałem tam, skamieniały z najstraszniejszymi lękami, nie odważając się oderwać ręki; jednak wciąż myśląc, że jeśli tylko mogę poruszyć ją choćby o cal, straszny urok zostanie przerwany. Nie wiedziałem, jak ta świadomość w końcu mnie opuściła; ale budząc się rano, z dreszczem przypomniałem sobie to wszystko, a przez dni, tygodnie i miesiące później gubiłem się w mylących próbach wyjaśnienia tej tajemnicy. Nawet do tej pory często zastanawiam się nad tym.

Teraz, gdy usunę straszliwy strach, moje odczucia związane z odczuwaniem nadprzyrodzonej ręki w mojej były bardzo podobne, w swej dziwności, do tych, które miałem, budząc się i widząc ramię Queequeg otoczone wokół mnie. Ale w końcu wszystkie wydarzenia z poprzedniej nocy soberne wróciły, jedno po drugim, w stałej rzeczywistości, a wtedy pozostawałem jedynie świadomy komicznej sytuacji. Chociaż próbowałem poruszyć jego ramię – odpiąć jego narzeczeńskie uścisk – on wciąż mocno mnie przytulał, jakby tylko śmierć miała nas rozdzielić. Teraz starałem się go obudzić: „Queequeg!” ale jego jedyną odpowiedzią był chrapanie. Przewróciłem się, czując, jakby moja szyja znajdowała się w końskim uprzęży; i nagle poczułem drobne zadrapanie. Odsuwając kołdrę, zobaczyłem tomahawk śpiący obok dzikusa, jakby to było niemowlę z twarzą siekiery. Cóż za dziwna sytuacja, pomyślałem; leżąc tutaj w obcym domu w jasny dzień, z kanibalem i tomahawkiem! „Queequeg! – w imieniu dobra, Queequeg, obudź się!” W końcu, dzięki wielu wygibasami i

głośnym oraz nieustannym protestom na temat niestosowności jego przytulania mnie w tak małżeńskim stylu, udało mi się wydobyć z niego pomruk; a wkrótce cofnął swoje ramię, potrząsnął się jak nowofundlandzki pies po wyjściu z wody i usiadł na łóżku, sztywny jak wędka, patrząc na mnie i pocierając oczy, jakby nie do końca pamiętał, jak się tu znalazłem, choć wydawało się, że powoli zaczyna zdawać sobie sprawę, że coś wie o mnie. Tymczasem leżałem cicho, przyglądając mu się, nie mając teraz poważnych obaw, i skupiając się na obserwowaniu tak ciekawego stworzenia.

Kiedy w końcu jego umysł wydawał się zdecydowany co do charakteru jego towarzysza w łóżku i jakby pogodził się z tym faktem, wyskoczył na podłogę i za pomocą pewnych znaków i dźwięków dał mi do zrozumienia, że jeśli mi to odpowiada, najpierw się ubierze, a potem zostawi mnie, żebym się ubrał, pozostawiając całe pomieszczenie dla siebie. Pomyślałem, Queequeg, w tych okolicznościach to bardzo cywilizowane zaproszenie; ale prawda jest taka, że ci dzikusy mają wrodzone poczucie delikatności, co by nie mówić; to niezwykle, jak bardzo są uprzejmi. Składam ten szczególny komplement Queequegowi, ponieważ traktował mnie z taką uprzejmością i uwagą, podczas gdy ja byłem bardzo niegrzeczny; wpatrując się w niego z łóżka i obserwując wszystkie jego ruchy toaletowe, w chwili, gdy moja ciekawość przeważała nad moim wychowaniem. Niemniej jednak, takiego człowieka jak Queequeg nie spotyka się na co dzień, on i jego sposób bycia byli warte niezwyklej uwagi.

Zaczął ubierać się od góry, zakładając swój kapelusz z bobra, bardzo wysoki, nawiasem mówiąc, a potem, wciąż bez spodni, szukał swoich butów. Czego pod niebem to robił, nie potrafię powiedzieć, ale jego następny ruch polegał na tym, że wcisnął się – trzymając buty w ręku i kapelusz na głowie – pod łóżko; kiedy z różnych gwałtownych westchnień i wysiłków wywnioskowałem, że ciężko pracuje, zakładając buty; chociaż według żadnej zasady przyzwoitości, o której kiedykolwiek słyszałem, żaden mężczyzna nie jest zobowiązany do prywatności, zakładając buty. Ale Queequeg, widzisz, był stworzeniem w fazie przejściowej, ani gąsienicą, ani motylem. Był wystarczająco cywilizowany, aby pokazać swoją egzotykalność w najdziwniejszy sposób. Jego edukacja nie była jeszcze zakończona. Był studentem. Gdyby nie był w niewielkim stopniu cywilizowany, prawdopodobnie w ogóle nie zawracałby sobie głowy zakładaniem butów; ale z drugiej strony, gdyby nie był wciąż dzikusem, nigdy by nie wpadł na pomysł, żeby wchodzić pod łóżko, by je założyć. W końcu wyszedł z pod łóżka z kapeluszem mocno wgniecionym i przyciśniętym do oczu, i zaczął skrzypieć i kuleć po pokoju, jakby, nie będąc zbyt przyzwyczajony do butów, jego para wilgotnych, pomarszczonych butów skórzanych – prawdopodobnie nie było to ani robione na zamówienie – raczej go uciska i męczyła w ten zimny, mroźny poranek.

Widząc, że nie ma zasłon w oknie, a ulica jest bardzo wąska, przez co dom naprzeciwko miał wyraźny widok do mojego pokoju, oraz obserwując coraz bardziej nieprzyzwoitą postać Queequeg, który chodził w niewiele więcej niż kapeluszu i butach, poprosiłem go, jak tylko mogłem, aby nieco przyspieszył swoje przygotowania, a szczególnie, aby jak najszybciej założył spodnie. Zgodził się i przystąpił do mycia się. O tej porze rano każdy chrześcijanin umyłby twarz; ale Queequeg, ku mojemu zdziwieniu, ograniczył swoje ablucje tylko do klatki piersiowej, ramion i rąk. Następnie założył kamizelkę, a biorąc kawałek twardego mydła z centralnego stolika umywalki, zanurzył go w wodzie i zaczął pieniść swoją twarz. Obserwowałem, gdzie trzyma swoją brzytwę, kiedy oto, ku mojemu zdziwieniu, wziął harpun z rogu łóżka, wyciągnął długi drewniany trzonek, odsłonił grot, lekko naostrzył go na bucie, a następnie, podchodząc do kawałka lustra na ścianie, zaczął energicznie skrobać, a raczej harpunować swoje policzki. Pomyślałem, Queequeg, to jest używanie najlepszej sztuców Rogersa z zemstą. Później mniej się dziwiłem tej operacji, gdy dowiedziałem się, z jakiego wspaniałego stali wykonana jest głowica harpuna i jak niezwykle ostre są zawsze długie, proste krawędzie.

Reszta jego toalety szybko została osiągnięta, a on dumnie wyszedł z pokoju, owinięty w swoją dużą pilotową kurtkę i dzierżąc harpun jak marszałkowską batutę.

Rozdział 5

Śniadanie

Szybko poszedłem w jego ślady i, schodząc do jadalni, bardzo przyjemnie zagadnąłem uśmiechniętego gospodarza. Nie żywiłem do niego żadnej urazy, choć spędził ze mną sporo czasu w sprawie mojego towarzysza w łóżku.

Jednak dobry śmiech to naprawdę wspaniała rzecz, a do tego zbyt rzadko spotykana; szkoda, że tak jest. Więc jeśli ktokolwiek, w swojej własnej osobie, jest materiałem na dobry żart dla kogoś, niech się nie waha, ale niech radośnie pozwoli sobie na wydawanie się i bycie wydawanym w ten sposób. A człowiek, który ma w sobie coś obficie zabawnego, bądź pewny, że jest w nim więcej, niż może ci się wydawać.

Jadalnia była teraz pełna lokatorów, którzy przybyli poprzedniej nocy, a których jeszcze dobrze nie widziałem. Byli prawie wszyscy rybakami; głównymi marynarzami, drugimi i trzecimi, stoczniovcami, bednarzami morskimi, kowalami morskimi, harpunami i opiekunami statków; brązowa i mocna grupa, z bujnymi brodami; nieogolona, kudłata ekipa, wszyscy w kurtkach pilotowych jako poranne szaty.

Można było dość wyraźnie ocenić, jak długo każdy z nich był na lądzie. Zdrowy policzek tego młodzieńca jest jak gruszka opalona na słońcu, a jego zapach wydaje się niemal piżmowy; nie mógł być na lądzie dłużej niż trzy dni po powrocie z indyjskiej podróży. Ten mężczyzna obok niego wygląda na kilka odcieni jaśniejszego; można by powiedzieć, że ma w sobie odrobinę drewna satynowego. Na twarzy trzeciego wciąż widać tropikalną opaleniznę, choć nieco wybieloną; on z pewnością spędził całe tygodnie na lądzie. Ale kto mógłby pokazać policzek jak Queequeg? Jego twarz, barwiona różnymi odcieniami, przypominała zachodni stok Andów, ukazując w jednym zestawieniu kontrastujące klimaty, strefa po strefie.

„Jedzenie, ho!” zawołał gospodarz, otwierając drzwi, i weszliśmy na śniadanie.

Mówią, że mężczyźni, którzy zwiedzili świat, stają się w ten sposób całkiem swobodnie w manierach i pewni siebie w towarzystwie. Nie zawsze jednak: Ledyard, wielki podróżnik z Nowej Anglii, i Mungo Park, Szkot; z wszystkich ludzi, mieli najmniej pewności siebie w salonie. Może jednak samo przekroczenie

Syberii w saniach ciągniętych przez psy, tak jak to zrobił Ledyard, czy długi samotny spacer na pusty żołądek w sercu Afryki, co było kwintesencją dokonań biednego Mungo, nie jest najlepszym sposobem na osiągnięcie wysokiej społecznej elegancji. Mimo to, przeważnie takie umiejętności można zdobyć wszędzie.

Te refleksje nasunęły mi się, gdy po zajęciu miejsc przy stole, przygotowywałem się na usłyszenie ciekawych opowieści o wielorybnictwie; ku mojemu niemałemu zdziwieniu, prawie każdy mężczyzna zachował głęboką ciszę. I nie tylko to, ale wyglądali na zażenowanych. Tak, oto grupa morskich wilków, z których wielu bez najmniejszej nieśmiałości wchodziło na pokład wielkich wielorybów na otwartym morzu - całkiem obcych dla nich - i zabijało je bez mrugnięcia okiem; a jednak tutaj siedzieli przy społecznym stole śniadaniowym, wszyscy tej samej profesji, wszyscy o podobnych gustach, wyglądając na siebie tak nieśmiało, jakby nigdy nie opuścili widoku jakiegoś zagrody wśród Zielonych Gór. Ciekawe widoki; te nieśmiałe niedźwiedzie, ci niepewni wojownicy wielorybnicy!

A Queequeg? Cóż, Queequeg siedział tam wśród nich - przy głowie stołu, jak to się zdarzyło; chłodny jak sopel lodu. Oczywiście nie mogę wiele powiedzieć o jego wychowaniu. Największy wielbiciel nie mógłby z czystym sumieniem usprawiedliwić tego, że przyniósł ze sobą harpun na śniadanie i używał go tam bez ceremonii; sięgając przez stół z nim, narażając wiele głów na niebezpieczeństwo, i chwytając steki wołowe w swoją stronę. Ale TO było z pewnością bardzo chłodno z jego strony, a każdy wie, że w oczach większości ludzi, robienie czegokolwiek w chłodny sposób oznacza robienie tego elegancko.

Nie będziemy tu mówić o wszystkich osobliwościach Queequega; jak unikał kawy i gorących bułek, a swoją pełną uwagę poświęcał stekom wołowym, przygotowanym w stylu rare. Wystarczy, że po zakończeniu śniadania wycofał się jak reszta do publicznego pomieszczenia, zapalił swoją fajkę tomahawka i siedział tam spokojnie, trawiąc i paląc, z nieodłącznym kapeluszem na głowie, gdy ja wyszedłem na spacer.

Rozdział 6

Ulica

Jeśli byłem zdziwiony na początku, widząc tak egzotyczną postać jak Queequeg krążącą w gronie grzecznego towarzystwa cywilizowanego miasta, to to zdziwienie szybko minęło po moim pierwszym spacerze w świetle dziennym po ulicach New Bedford.

W ulicach blisko doków, każde większe portowe miasto często oferuje widok najdziwaczniejszych osobliwości z zagranicy. Nawet na Broadwayu i Chestnut Street śródziemnomorscy marynarze czasem wpadają na przestraszone panie. Regent Street nie jest obca Laskarom i Malajom; a w Bombaju, na Apollo Green, żywi Yankees często przerażają tubylców. Ale New Bedford przewyższa wszystkie Water Street i Wapping. W tych ostatnich miejscach widać tylko marynarzy; ale w New Bedford rzeczywiście kanibale stoją i rozmawiają na rogach ulic; prawdziwi dzicy; wielu z nich nosi na sobie nieczyste mięso. To sprawia, że obcy się gapi.

Jednak oprócz Feegeeńczyków, Tongatobooarrów, Erromangończyków, Pannangów i Brighggianów, oraz dzikich przedstawicieli floty wielorybniczej, którzy bez celu kręcą się po ulicach, zobaczysz jeszcze bardziej ciekawe, a z pewnością zabawniejsze widoki. Co tydzień do tego miasta przybywa mnóstwo zielonych mieszkańców Vermontu i New Hampshire, wszyscy pragnący zysku i chwały w rybołówstwie. To głównie młodzi ludzie o potężnych sylwetkach; chłopaki, którzy wycinali lasy, a teraz chcą porzucić siekiere i chwycić za włócznię wieloryba. Wielu z nich jest tak zielonych jak Zielone Góry, z których przybyli. W niektórych sprawach można by pomyśleć, że są tylko kilka godzin po narodzinach. Patrz! Ten facet przechadza się za rogiem. Ma na sobie kapelusz z bobra i frak z ogonem, przewiązany marynarskim pasem i scyzorykiem. A oto kolejny z sou'westerem i bombazynowym płaszczem.

Żaden elegant z miasta nie może równać się z wiejskim eleganckim; mam na myśli prawdziwego wieśniaka, który w upalne dni kosi swoje dwa akry w rękawiczkach z zamszu, bo boi się opalić dłonie. Gdy taki wiejski elegancik postanawia zdobyć uznanie, wstępuje do wielkiej floty wielorybniczej, powinieneś zobaczyć, co komicznego robi, gdy dociera do portu. Zamawiając swój ekwipunek morski, prosi o guziki do kamizelek i paski do kanwowych spodni. Ach, biedny Hay-Seed! Jak gorzko pękną te paski w pierwszej huraganowej burzy, kiedy będziesz pędzony, paski, guziki i wszystko inne, w gardło burzy.

Ale nie myśl, że to słynne miasto ma tylko harpunów, kanibali i wieśniaków do pokazania swoim gościom. Wcale nie. Mimo to New Bedford to dziwne miejsce.

Gdyby nie my, wielorybnicy, ten kawałek ziemi być może byłby dzisiaj w takiej samej opłakanej kondycji jak wybrzeże Labradoru. Jak jest, części jej zaplecza są wystarczająco przerażające, wyglądają tak kościsto.

Same miasto jest być może najdroższym miejscem do życia w całej Nowej Anglii. To prawda, że jest to kraina oleju, ale nie jak Kanaan; to także kraina zboża i wina. Ulice nie płyną mlekiem; ani wiosną nie wyłożą ich świeżymi jajkami. A jednak, mimo to, nigdzie w całej Ameryce nie znajdziesz więcej patrycjuszowskich domów; parków i ogrodów bardziej dostatnich niż w New Bedford. Skąd się wzięły? Jak zasadziły się na tej kiedyś nędznej skorupie kraju?

Idź i spójrz na żelazne, emblematyczne harpuny wokół tamtej wysokiej posiadłości, a twoje pytanie zostanie rozwiązane. Tak; wszystkie te wspaniałe domy i kwieciste ogrody przysły z Atlantyku, Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Wszystkie one zostały harpunowe i wciągnięte stąd z dna morza. Czy Herr Alexander potrafiłby dokonać czegoś takiego?

W New Bedford, mówią, ojcowie dają wieloryby jako posagi dla swoich córek, a siostrzenicom przydzielają po kilka delfinów. Musisz pojechać do New Bedford, aby zobaczyć wspaniałe wesele; bo mówią, że mają zbiorniki oleju w każdym domu, i każdej nocy lekkomyślnie palą je w świecach z spermacetu.

Latem miasto jest piękne do oglądania; pełne pięknych klonów, długich alei zieleni i złota. A w sierpniu, wysoko w powietrzu, piękne i obfite kasztanowce, jak świeczniki, oferują przechodniom swoje smukłe stożkowate kwiaty. Sztuka jest wszechpotężna; w wielu dzielnicach New Bedford zrodziła jasne tarasy kwiatów na jałowych skałach, które zostały odrzucone w dniu stworzenia.

A kobiety z New Bedford kwitną jak własne czerwone róże. Ale róże kwitną tylko latem; podczas gdy piękny goździk ich policzków jest wieczny jak światło słoneczne w siódmym niebie. Gdzie indziej nie znajdziesz takiego ich rumieńca, chyba że w Salem, gdzie mówią mi, że młode dziewczyny wydzielają taką piżmową woń, że ich marynarskie ukochane czują je z daleka, jakby zbliżali się do wonnych Moluków, a nie do purytańskich piasków.

Rozdział 7

Kaplica

W tym samym New Bedford znajduje się Kaplica Włóczęgów, a niewielu jest nastrojowych rybaków, którzy szykują się do wyprawy na Ocean Indyjski lub

Pacyfik, którzy nie odwiedzą tego miejsca w niedzielę. Jestem pewien, że ja tego nie zaniedbałem.

Wracając z porannego spaceru, ponownie wyszedłem w tej szczególnej sprawie. Niebo zmieniło się z jasnego, słonecznego chłodu w ulewne śnieżyce i mgłę. Owinąwszy się w moją kudłatą kurtkę z materiału zwanego niedźwiedzim futrem, zmagalem się z upartą burzą. Wchodząc, znalazłem małą, rozproszoną kongregację marynarzy oraz żon i wdów rybaków. Panowała stłumiona cisza, przerywana tylko od czasu do czasu krzykami burzy. Każdy milczący wierny wydawał się celowo siedzieć z dala od innych, jakby każdy cichy ból był wyspą, nieprzekazywalną innym. Kapelan jeszcze nie przybył; i tam te milczące wyspy mężczyzn i kobiet siedziały niezłomnie, wpatrując się w kilka marmurowych tabliczek z czarnymi ramkami, wmurowanych w ścianę po obu stronach kazalnicy. Trzy z nich brzmiały mniej więcej tak, ale nie zamierzam ich cytować:

ŚWIĘTE PAMIĘCI JOHN TALBOT, Który w wieku osiemnastu lat zaginął za burtą, w pobliżu Wyspy Desolacji, u wybrzeży Patagonii, 1 listopada 1836. TA TABLICA Jest poświęcona jego pamięci PRZEZ JEGO SIOSTRĘ.

ŚWIĘTE PAMIĘCI ROBERTA LONGA, WILLISA ELLERY, NATHANA COLEMANA, WALTERA CANNY, SETHA MACY'ego i SAMUELA GLEIGA, którzy stanowili załogę jednej z łodzi STATKU ELIZA, a którzy zostali odciągnięci z oczu przez wieloryba, na terenie przybrzeżnym na PACYFIKU, 31 grudnia 1839. TEN MARMUR jest tu umieszczony przez ich ocalałych KOLEGÓW Z ŁODZI.

ŚWIĘTE PAMIĘCI zmarłego KAPITANA EZEKIELA HARDY'ego, który w dziobie swojej łodzi został zabity przez wieloryba spermacetowego u wybrzeży Japonii, 3 sierpnia 1833. TA TABLICA Jest poświęcona jego pamięci PRZEZ JEGO WDOWE.

Strzepując śnieg z mojego lodowatego kapelusza i kurtki, usiadłem blisko drzwi, a gdy odwróciłem się na bok, byłem zaskoczony, widząc Queequega obok mnie. Wpływając na powagę sceny, na jego twarzy malowało się zdumienie, niedowierzające spojrzenie. Ten dzikus był jedyną osobą obecną, która wydawała się zauważać moje wejście; ponieważ był jedynym, który nie potrafił czytać, a zatem nie czytał tych lodowatych inskrypcji na ścianie. Nie wiedziałem, czy wśród zgromadzenia są jacyś krewni marynarzy, których nazwiska się tam pojawiły; ale zbyt wiele jest nie odnotowanych wypadków w rybołówstwie, a tak wyraźnie kilka obecnych kobiet nosiło na sobie wyraz, jeśli nie atrybuty, nieustającego smutku, że jestem pewien, iż przed mną zgromadzili się ci, w

których nieuleczalnych sercach widok tych ponurych tablic w sympatyczny sposób sprawiał, że stare rany krwawiły na nowo.

Och, wy, których zmarli spoczywają pod zieloną trawą; którzy stojąc wśród kwiatów możecie powiedzieć, oto, TUTAJ leży moja ukochana; nie znacie pustki, która wciąż trwa w takich sercach. Jakie gorzkie puste miejsca na tych marmurowych tablicach z czarnymi ramkami, które nie kryją żadnych prochów! Jakie rozpacz w tych niezmiennych inskrypcjach! Jakie śmiertelne pustki i nieproszona niewierność w linijkach, które zdają się gnębić wszelką Wiarę i odmawiać zmartwychwstania istotom, które bez miejsca zniknęły bez grobu. Te tablice mogłyby równie dobrze stać w jaskini Elefanty co tutaj.

W jakim spisie żywych istot uwzględniani są zmarli ludzie; dlaczego to powszechne przysłowie mówi o nich, że nie opowiadają historii, choć kryją więcej tajemnic niż piaski Goodwin; jak to się dzieje, że do imienia, które wczoraj odeszło do innego świata, dodajemy tak znaczące i niewierne słowo, a jednak nie nadajemy mu takiego tytułu, gdy tylko wyrusza do najdalszych Indii tego żywego świata; dlaczego firmy ubezpieczeniowe wypłacają odszkodowania za śmierć nieśmiertelnym; w jakim wiecznym, nieruchomym paraliżu, i śmiertelnym, beznadziejnym transie, wciąż tkwi pradawny Adam, który umarł sześćdziesiąt okrągłych wieków temu; jak to się dzieje, że wciąż odmawiamy pocieszenia dla tych, którzy jednak, jak twierdzimy, żyją w niewypowiedzianej błogości; dlaczego wszyscy żywi tak usilnie starają się uciszyć wszystkich zmarłych; czemu tylko rumor stuka w grobie przeraża całe miasto. Wszystkie te rzeczy nie są bez znaczenia.

Ale Wiara, jak szakal, żywi się wśród grobów, a nawet z tych martwych wątpliwości gromadzi swoją najważniejszą nadzieję.

Nie trzeba chyba mówić, z jakimi uczuciami, w przeddzień wyprawy na Nantucket, patrzyłem na te marmurowe tablice i przy mrocznym świetle tego ciemnego, ponurego dnia czytałem los wielorybników, którzy byli przede mną. Tak, Ishmaelu, ten sam los może czekać i na ciebie. Ale jakoś znowu stałem się radosny. Wspaniałe zachęty do wyruszenia w drogę, świetna szansa na awans, wydaje się, że łódź z piecem uczyni mnie nieśmiertelnym przez brevet. Tak, w tej pracy związanej z wielorybnictwem jest śmierć – bezgłośnie, chaotyczne wrzucenie człowieka w wieczność. Ale co z tego?

Wydaje mi się, że ogromnie mylimy się w kwestii Życia i Śmierci. Wydaje mi się, że to, co tutaj na ziemi nazywają moim cieniem, jest moją prawdziwą istotą. Wydaje mi się, że patrząc na rzeczy duchowe, jesteśmy zbyt podobni do ostryg

obserwujących słońce przez wodę i myślących, że gęsta woda jest najcieńszym powietrzem. Wydaje mi się, że moje ciało jest tylko osadem mojego lepszego ja. W rzeczy samej, weź moje ciało, kto chce, weź je, mówię, to nie jestem ja. I dlatego trzy okrzyki dla Nantucket; i przyjdź, łódź z piecem i zniszczone ciało, kiedy tylko zechcą, bo mojej duszy, nawet Jowisz sam nie może zniszczyć.

Rozdział 8

Kazalnica

Nie siedziałem długo, gdy do środka wszedł mężczyzna o pewnej czcigodnej posturze; natychmiast, gdy burza otworzyła drzwi, szybkie spojrzenie całej zgromadzonej społeczności wystarczająco potwierdziło, że ten wspaniały starzec był kapłanem. Tak, to był słynny ojciec Mapple, tak nazywany przez wielorybników, wśród których był bardzo wielkim ulubieńcem. W młodości był

żeglarzem i harpunem, ale od wielu lat poświęcił swoje życie posłudze. W czasie, o którym piszę, ojciec Mapple znajdował się w twardej zimie zdrowej starości; takiej starości, która wydaje się łączyć z drugą wiosenną młodością, ponieważ wśród wszystkich szczelin jego zmarszczek błyszcząły pewne łagodne promienie nowo rozwijającego się kwiatu – wiosenne zieleniaczki przebijały się nawet spod lutowego śniegu. Nikt, kto wcześniej nie słyszał jego historii, nie mógł po raz pierwszy ujrzeć ojca Mapple'a bez największego zainteresowania, ponieważ miał w sobie pewne wrodzone cechy duchownego, które można przypisać tej przygodowej morskiej egzystencji, którą prowadził. Gdy wszedł, zauważyłem, że nie niesie parasola, a z pewnością nie przyjechał swoim powozem, ponieważ jego płócienny kapelusz był mokry od topniejącego śniegu, a jego gruba kurtka pilotowa wydawała się niemal ciągnąć go na podłogę z ciężaru wody, którą wchłonęła. Niemniej jednak kapelusz, kurtkę i kalosze jeden po drugim zdjęto i powieszono w małym miejscu w sąsiednim rogu; a gdy był już ubrany w porządny garnitur, cicho podszedł do kazalnicy.

Jak większość staromodnych kazalnicy, była to bardzo wysoka kazalnica, a ponieważ regularne schody na taką wysokość poważnie ograniczyłyby już małą powierzchnię kaplicy, architekt, jak się wydaje, postąpił zgodnie z sugestią ojca Mapple'a i ukończył kazalnicę bez schodów, zastępując je pionową drabiną boczną, jak te używane do wchodzenia na statek z łodzi na morzu. Żona kapitana wielorybnika dostarczyła kaplicy ładną parę czerwonych lin manilowych do tej drabiny, która, sama w sobie ładnie zakończona i zabarwiona na kolor mahoniowy, cała konstrukcja, biorąc pod uwagę, jakiego rodzaju kaplica to była, wydawała się wcale nie w złym guście. Zatrzymując się na chwilę u stóp drabiny, i chwytając obiema rękami ozdobne gałki lin manilowych, ojciec Mapple rzucił spojrzenie w górę, a następnie z prawdziwie żeglarską, ale wciąż pełną szacunku zręcznością, krok po kroku, wspiął się jakby wchodził na maszt swojego statku.

Pionowe części tej bocznej drabiny, jak to zwykle bywa w huśtających się drabinach, były z materiału pokrytego liną, tylko stopnie były drewniane, tak że na każdym kroku był staw. Przy pierwszym spojrzeniu na kazalnicę nie umknęło mi, że chociaż były wygodne dla statku, te połączenia w tej sytuacji wydawały się zbędne. Nie byłem przygotowany na to, by zobaczyć ojca Mapple'a, po osiągnięciu wysokości, powoli się obrócić i, pochylając się nad kazalnicą, celowo ściągnąć drabinę stopień po stopniu, aż cała została złożona wewnątrz, pozostawiając go niezdobytą w jego małym Quebecu.

Zastanawiałem się przez chwilę, nie do końca rozumiejąc powód tego działania. Ojciec Mapple cieszył się taką szeroką reputacją szczerości i świętości, że nie

mogłem go podejrzewać o dążenie do sławy jakimś sztuczkami ze sceny. Nie, pomyślałem, musi być jakiś poważny powód tej sytuacji; ponadto musi to symbolizować coś niewidocznego. Czyżby przez ten akt fizycznej izolacji oznaczał swoje duchowe wycofanie się na czas od wszelkich zewnętrznych światowych więzi i powiązań? Tak, ponieważ napełniony mięsem i winem słowa, dla wiernego człowieka Bożego, ta kazalnica, widzę, jest samowystarczalnym bastionem – wzniesionym Ehrenbreitsteinem, z wiecznym źródłem wody wewnątrz ścian.

Jednak boczna drabina nie była jedyną dziwną cechą tego miejsca, zapożyczoną z morskiej przeszłości kapelana. Pomędzy marmurowymi ceno-tafami po obu stronach kazalnicy, ściana, która tworzyła jej tło, była ozdobiona dużym obrazem przedstawiającym dzielny statek walczący z okropną burzą u wybrzeża czarnych skał i śnieżnych fal. Ale wysoko ponad uciekającymi chmurami i ciemnymi burzami unosiła się mała wyspa światła słonecznego, z której promieniowała twarz anioła; i ta jasna twarz rzucała wyraźną plamę blasku na wzburzoną pokład statku, coś jak ta srebrna tabliczka wstawiona teraz w deskę Victory, gdzie zginął Nelson. "Ah, szlachetny statku," wydawało się, że mówi anioł, "walcz dalej, walcz dalej, ty szlachetny statku, i noś dzielny ster; oto! słońce przebija się przez chmury; najczystszy błękit jest w zasięgu."

Kazalnica sama w sobie również nie była pozbawiona śladów tego samego morskiego smaku, który zrealizował drabinę i obraz. Jej panelowy przód przypominał dziób statku, a Święta Biblia spoczywała na wystającej części zdobienia, uformowanej na kształt dziobu statku.

Co może być bardziej znaczące? Kazalnica jest zawsze najważniejszą częścią tej ziemi; wszystko inne znajduje się za nią; kazalnica prowadzi świat. Stamtąd po raz pierwszy dostrzega się burzę Bożego gniewu, a dziób musi znosić pierwszy cios. Stamtąd po raz pierwszy wzywa się Boga łaskawych lub złych wiatrów o sprzyjające podmuchy. Tak, świat jest statkiem w drodze, a nie zakończoną podróżą; a kazalnica jest jego dziobem.

Rozdział 9

Kazanie

Ojciec Mapple wstał i w łagodnym tonie skromnej władzy polecił rozproszonym ludziom zbliżyć się. "Prawe przejście, tam! Ustawcie się na lewą burtę! Lewa burta na prawą! Środek! Środek!"

Rozległo się ciche dudnienie ciężkich butów morskich na ławach oraz jeszcze delikatniejsze przesuwanie kobiecych butów, a potem zapadła znów cisza i wszystkie oczy zwróciły się na kaznodzieję.

Na chwilę się zatrzymał; następnie, klękając w dziobie kazalnicy, złożył swoje duże brązowe dłonie na piersi, uniósł zamknięte oczy i odmówił modlitwę tak głęboko pobożną, że wydawało się, iż klęczy i modli się na dnie morza.

Gdy to się skończyło, w przedłużonych, poważnych tonach, jak ciągle dzwonienie dzwonu na statku, który tonie w morzu w mgle, w takich tonach rozpoczął czytanie następującej pieśni; jednak zmieniając swój sposób w kierunku końcowych strof, wybuchł radosnym uniesieniem i radością:

"Żebra i przerażenie w wielorybie,
Nad moją głową rozpościerały mroczny cień,
Podczas gdy wszystkie promienne fale Boga płynęły obok,
I wciągały mnie w otchłań przeznaczenia.

"Widziałem otwartą paszczę piekła,
Z nieskończonymi bólem i smutkiem tam;
Czego nikt oprócz tych, którzy czują, nie może opowiedzieć –
O, zapadałem w rozpacz.

"W czarnej rozpaczyci wołałem do mojego Boga,
Gdy ledwo mogłem uwierzyć, że jest mój,
On pochylił swoje ucho na moje skargi –
Już więcej nie wtrącał mnie wieloryb.

"Z prędkością przyleciał mi na pomoc,
Jak na promiennym delfinie niesiony;
Straszny, a jednak jasny, jak błyskawica lśniła
Twarz mojego Zbawiciela Boga.

"Moja pieśń na zawsze zapisze
Tamten straszny, tamten radosny moment;
Chwałę oddaję mojemu Bogu,
Jego cała miłosierdzie i moc."

Prawie wszyscy dołączyli do śpiewania tej pieśni, która wznosiła się wysoko ponad wycie burzy. Nastąpiła krótka przerwa; kaznodzieja powoli przewracał kartki Biblii, a w końcu, opierając dłoń na odpowiedniej stronie, powiedział: "Ukochani towarzysze, zapamiętajcie ostatnią zwrotkę pierwszego rozdziału Księgi Jonasza: 'I Bóg przygotował wielką rybę, aby pożarła Jonasza.'

"Towarzysze, ta książka, zawierająca tylko cztery rozdziały – cztery opowieści – jest jednym z najmniejszych włókien w potężnym kablu Pisma Świętego. A jednak jakie głębiny duszy odsłaniają głębokie morskie dźwięki Jonasza! Jaką pouczającą lekcję niesie ten prorok! Jak wspaniała jest ta pieśń w brzuchu ryby! Jak majestatycznie wielka, niczym fale! Czujemy, jak fale zalewają nas; z nim opadamy na zielsko dno wód; wodorosty i cała maź morską otaczają nas! Ale JAKA jest ta lekcja, którą naucza Księga Jonasza? Towarzysze, to jest lekcja o dwóch wątkach; lekcja dla nas wszystkich jako grzesznych ludzi, i lekcja dla mnie jako pilota żywego Boga. Jako grzeszni ludzie, to jest lekcja dla nas wszystkich, ponieważ jest to opowieść o grzechu, zatwardziałości serca, nagle obudzonych lękach, szybkim ukaraniu, pokucie, modlitwach, a w końcu o wybawieniu i radości Jonasza. Jak w przypadku wszystkich grzeszników, grzech tego syna Amittaja polegał na jego dobrowolnym nieposłuszeństwie wobec Bożego przykazania – nie martwcie się teraz, jakie to było przykazanie, ani jak zostało przekazane, które uznał za trudne. Ale wszystkie rzeczy, które Bóg pragnie, abyśmy robili, są dla nas trudne do wykonania – pamiętajcie o tym – i dlatego częściej nakazuje nam, niż stara się przekonać. A jeśli mamy być posłuszni Bogu, musimy nie słuchać siebie; i to w tym nieposłuszeństwie sobie, tkwi trudność posłuszeństwa Bogu.

"Z tym grzechem nieposłuszeństwa w sobie, Jonasz jeszcze bardziej szydzi z Boga, próbując uciec od Niego. Myśli, że statek zbudowany przez ludzi zabierze go do krajów, gdzie Bóg nie króluje, a jedynie kapitanowie tej ziemi. Skrada się po nabrzeżach Jafy i szuka statku płynącego do Tarszisz. Może kryje się tutaj jakieś dotąd niedostrzegane znaczenie. Z wszelkich relacji wynika, że Tarszisz nie mógł być innym miastem niż nowoczesny Kadyks. Tak uważają uczeni. A gdzie jest Kadyks, towarzysze? Kadyks jest w Hiszpanii; tak daleko drogą morską od Jafy, jak tylko Jonasz mógłby przepłynąć w tamtych dawnych czasach, gdy Atlantyk był morzem prawie nieznanym. Ponieważ Jafa, nowoczesna Jaffa, towarzysze, znajduje się na najbardziej wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, syryjskim; a Tarszisz, czyli Kadyks, ponad dwa tysiące mil na zachód od tego miejsca, tuż za Cieśniną Gibraltarską. Czyż więc nie widzicie, towarzysze, że Jonasz próbował uciec na całym świecie od Boga? Nędzny człowieku! O, najbardziej pogardzany i godny wszelkiego wzgardy; z opadłym kapeluszem i winny wzrok, skradający się od swojego Boga; kręcąc się wśród statków jak nikczemny włamywacz, spieszący się, by przekroczyć morza. Tak dezorientowany, samokrytyczny jest jego wygląd, że gdyby w tamtych czasach byli policjanci, Jonasz, na samo podejrzenie o coś złego, zostałby aresztowany, zanim dotknąłby pokładu.

Jak wyraźnie widać, że jest uciekinierem! Żadnego bagażu, ani walizki, ani pudła na kapelusz, ani torby podróźnej, żadnych przyjaciół towarzyszących mu na nabrzeżu z pożegnaniami. W końcu, po wielu unikaniach i poszukiwaniach, znajduje statek do Tarszisz, który przyjmuje ostatnie elementy swojego ładunku; a gdy wchodzi na pokład, aby zobaczyć jego kapitana w kabinie, wszyscy marynarze na chwilę przestają podnosić towary, aby zwrócić uwagę na złowrogi wzrok nieznanego. Jonasz to widzi; ale na próżno stara się wyglądać na swobodnego i pewnego siebie; na próżno usiłuje wymusić nędzny uśmiech. Silne intuicje mężczyzn zapewniają marynarzy, że nie może być niewinny. W ich żartobliwy, ale wciąż poważny sposób, jeden szeptał do drugiego: "Jack, okradł wdowę;" albo, "Joe, zauważ go; to bigamista;" albo, "Harry, przypuszczam, że to cudzołożnik, który uciekł z więzienia w starej Gomore, albo być może jeden z zaginionych morderców z Sodomy." Inny biegnie, aby przeczytać ogłoszenie przybite do pala na nabrzeżu, do którego przycumowany jest statek, oferując pięćset złotych monet za ujęcie ojcobójcy, i zawierające opis jego osoby. Czyta i spogląda z Jonasza na ogłoszenie; podczas gdy wszyscy jego współtowarzysze teraz otaczają Jonasza, gotowi położyć na nim ręce. Przerażony Jonasz drży, a zbierając całą swoją odwagę, wygląda tylko na jeszcze większego tchórza. Nie chce przyznać się do podejrzenia; ale to samo w sobie jest silnym podejrzeniem. Więc robi, co może; a gdy marynarze stwierdzają, że nie jest tym człowiekiem, który jest reklamowany, pozwalają mu przejść i schodzi do kabiny.

"Kim tam jesteś?" krzyczy kapitan przy swoim zajęтым biurku, pospiesznie wypełniając papiery dla celników. "Kim tam jesteś?" O! jak to niewinne pytanie rani Jonasza! Na chwilę niemal znowu chce uciekać. Ale się opanowuje. "Szukam przeprawy tym statkiem do Tarszisz; kiedy wyruszacie, panie?" Do tej pory zajęty kapitan nie spojrzał na Jonasza, choć mężczyzna teraz stoi przed nim; ale gdy tylko usłyszał ten pusty głos, rzucił mu badawcze spojrzenie. "Wypływamy z następną przyprawą," w końcu powoli odpowiedział, wciąż pilnie go obserwując. "Nie wcześniej, panie?" "Wystarczająco szybko dla każdego uczciwego człowieka, który jest pasażerem." Ha! Jonasz, to kolejny cios. Ale szybko odwraca uwagę kapitana od tego tematu. "Popłynę z wami," mówi, "ile kosztuje bilet? Zapłacę teraz."

Jest to szczególnie podkreślone, towarzysze, jakby było to coś, czego nie można pominąć w tej historii, "że zapłacił za bilet, zanim statek wyruszył." A w kontekście, to ma głębokie znaczenie.

"Kapitan Jonasza, towarzysze, był człowiekiem, którego przenikliwość dostrzega zbrodnię u każdego, ale którego chciwość ujawnia ją tylko u bezdomnych. W tym świecie, towarzysze, grzech, który płaci za siebie, może podróżować swobodnie i

bez paszportu; podczas gdy cnota, jeśli jest biedna, jest zatrzymywana na wszystkich granicach. Dlatego kapitan Jonasz przygotowuje się do sprawdzenia długości portfela Jonasz, zanim otwarcie go oceni. Żąda od niego trzykrotności zwykłej kwoty; i jest to zaakceptowane. Wtedy kapitan wie, że Jonasz jest uciekinierem; ale równocześnie postanawia pomóc ucieczce, która toruje sobie drogę złotem. Lecz gdy Jonasz wydobywa swój portfel, ostrożne podejrzenia wciąż dręczą kapitana. Dzwoni każdym groszem, aby znaleźć fałszywy. "Nie fałszerz," mamrocze; a Jonasz jest zapisany na swoją przeprawę. "Wskaż mi mój pokój, panie," mówi teraz Jonasz, "jestem zmęczony podróżą; potrzebuję snu." "Wyglądasz na zmęczonego," mówi kapitan, "oto twój pokój." Jonasz wchodzi i chce zamknąć drzwi, ale zamek nie ma klucza. Słyszając, jak głupio tam majstruje, kapitan cicho się śmieje i mamrocze coś o tym, że drzwi cel więźniów nigdy nie mogą być zamykane od wewnątrz. Cały ubrudzony i zmęczony, Jonasz rzuca się na swoje łóżko i stwierdza, że sufit małego pokoju prawie dotyka jego czoła. Powietrze jest duszne, a Jonasz się dusi. Wtedy, w tej skurczonej dziurze, zanurzonej również poniżej linii wodnej statku, Jonasz odczuwa zwiastun tej duszącej godziny, kiedy wieloryb uwięzi go w najmniejszych częściach swoich wnętrzności.

"Przykręcona na swoim osi do boku, kołysząca się lampa lekko oscyluje w pokoju Jonasz; a statek, przechylony w stronę nabrzeża pod ciężarem ostatnich przyjętych bal, lampa, płomień i wszystko, choć w lekkim ruchu, wciąż utrzymuje trwałą skosność w odniesieniu do pokoju; choć w rzeczywistości, będąc niezawodnie prostą, tylko uwydatnia fałszywe, kłamliwe poziomy, wśród których wisi. Lampa przeraża i niepokoi Jonasz; leżąc w swoim łóżku, jego torturowane oczy błędzą po pomieszczeniu, a ten dotychczas udany uciekinier nie znajduje schronienia dla swojego niespokojnego wzroku. Ale ta sprzeczność w lampie coraz bardziej go przeraża. Podłoga, sufit i ściana są wszystkie krzywe. "O! więc moje sumienie wisi we mnie!" jęczy, "prosto w górę, tak płonie; ale komory mojej duszy są wszystkie krzywe!"

"Jak ten, który po nocy pijackich eskapad spieszy do łóżka, wciąż chwiejny, ale z sumieniem, które go kłuje, jak skoki rzymskiego konia wyścigowego jeszcze bardziej wbijają mu stalowe kolce; jak ten, kto w tym nędznym stanie wciąż się kręci i kręci w zawrotnym cierpieniu, modląc się do Boga o unicestwienie, aż minie atak; i w końcu, po wirze trosk, czuje, jak głęboki letarg ogarnia go, jak nad męczyczą, który wykrwawia się na śmierć, bo sumienie jest raną, a nie ma nic, co mogłoby ją zatamować; tak, po ciężkich zmaganiach w swoim łóżku, prodigium ogromnego cierpienia Jonasz ciągnie go w dół do snu.

"A teraz nastał czas przyływu; statek zrzuca cumy; a z opuszczonego nabrzeża niechety statek do Tarsisz, cały przechylony, sunie w morze. Ten statek, moi przyjaciele, był pierwszym z zapisanych przemytników! Przemytem był Jonasz. Ale morze buntuje się; nie znieś tego złego ładunku. Nadchodzi straszna burza, statek ma się rozpaść. Ale teraz, gdy bosman woła wszystkich do pomocy, aby go odciążyć; gdy skrzynie, bale i słoiki z hukiem spadają za burtę; gdy wiatr wyje, a mężczyźni krzyczą, a każda deska grzmi od stąpających stóp tuż nad głową Jonasza; w tym szaleńczym tumultcie Jonasz śpi swoim okropnym snem. Nie widzi czarnego nieba i szalejącego morza, nie czuje chwiejących się belek, a mało słyszy lub zwraca uwagę na daleki pęd potężnego wieloryba, który już teraz z otwartą paszczą przeszukuje morze za nim. Tak, towarzysze, Jonasz zszedł do wnętrza statku - do łóżka w kabinie, jak to zrozumiałem, i głęboko spał. Ale przestraszony kapitan podchodzi do niego i krzyczy do jego martwego ucha: "Czego chcesz, o, śpiochu! Wstań!" Zaskoczony z letargu tym przerażającym krzykiem, Jonasz wstaje na nogi i, potykając się, wychodzi na pokład, chwytając za olinowanie, aby spojrzeć na morze. Ale w tym momencie skacze na niego pantera fali, przeskakuje przez burtę. Fala za falą w ten sposób wpada na statek, a nie znajdując szybkiego ujścia, ryczy w przód i w tył, aż marynarze są bliscy utonięcia, chociaż wciąż na wodzie. A zawsze, gdy biała księżyc pokazuje swoją przestraszoną twarz z stromej doliny w czerni nad głową, przerażony Jonasz widzi wznoszący się sztag wskazujący wysoko w górę, ale zaraz potem znów opadający w kierunku męczzonej otchłani."

"Strachy na strachy krzyczą przez jego duszę. W wszystkich jego zgarbionych postawach, uciekinier od Boga jest teraz zbyt wyraźnie rozpoznawalny. Marynarze go dostrzegają; ich podejrzenia wobec niego stają się coraz bardziej pewne, a w końcu, aby w pełni sprawdzić prawdę, odnosząc całą sprawę do wysokości Nieba, przystępują do losowania, aby zobaczyć, z czyjego powodu ta wielka burza ich dotknęła. Los pada na Jonasza; gdy to odkryto, zaczynają go z furią zasypywać pytaniami. "Jakie jest twoje zajęcie? Skąd pochodzisz? Jakie jest twoje państwo? Jaki jest twój lud?" Ale zwróćcie uwagę, moi towarzysze, na zachowanie biednego Jonasza. Eager marynarze pytają go, kim jest i skąd pochodzi; natomiast, nie tylko otrzymują odpowiedzi na te pytania, ale także kolejną odpowiedź na pytanie, które nie zostało przez nich zadane, ale wymuszoną odpowiedź wydobywa z Jonasza twarda ręka Boga, która spoczywa na nim.

"Jestem Hebrajczykiem," krzyczy, "i boję się Pana, Boga Nieba, który stworzył morze i ląd!" Bać się Go, o Jonasz? Tak, miałeś się bać Pana Boga WTEDY! Natychmiast przystępuje do pełnego wyznania; na co marynarze stają się coraz bardziej przerażeni, ale wciąż współczujący. Gdyż, kiedy Jonasz, jeszcze nie

blagając Boga o miłosierdzie, ponieważ zbyt dobrze znał mroki swoich zasług, - gdy nędzny Jonasz woła do nich, aby go wzięli i wyrzucili w morze, bo wiedział, że z powodu NIEGO ta wielka burza ich dotyka; oni litościwie odwracają się od niego i starają się innymi sposobami uratować statek. Ale wszystko na próżno; gniewny wiatr wyje głośniejsze; wtedy, z jedną ręką uniesioną w modlitwie do Boga, drugą, choć niechętnie, chwytają Jonasz.

"A teraz oto Jonasz podniesiony jak kotwica i zrzucony do morza; kiedy natychmiast z wschodu unosi się oleista cisza, a morze staje się spokojne, gdy Jonasz z sobą zabiera wichurę, zostawiając za sobą gładką wodę. Zstępuje w wir takiej bezmasternej wrzawy, że ledwie zauważa moment, gdy wrzący wpada w otwarte szczęki czekające na niego; a wieloryb zamyka się na wszystkich jego kółkach z kości słoniowej, jak na wiele białych bolców, na jego więzieniu. Wtedy Jonasz modlił się do Pana z wnętrza ryby. Ale zwróćcie uwagę na jego modlitwę i nauczcie się ważnej lekcji. Bo chociaż jest grzeszny, Jonasz nie płacze i nie lamentuje o bezpośrednie wybawienie. Czuje, że jego straszna kara jest sprawiedliwa. Pozostawia całe swoje wybawienie Bogu, zadowolając się tym, że pomimo wszystkich swoich cierpień i bólu, wciąż będzie patrzył w stronę Jego świętej świątyni. A tutaj, towarzysze, jest prawdziwa i wierna pokuta; nie krzycząca o przebaczenie, ale wdzięczna za karę. A jak miłe Bogu było to zachowanie Jonasz, pokazuje to ostateczne wybawienie go z morza i wieloryba. Towarzysze, nie stawiam Jonasz przed wami jako wzór do naśladowania za jego grzech, ale stawiam go przed wami jako wzór pokuty. Nie grzeszcie; ale jeśli już to zrobicie, postarajcie się żałować tego jak Jonasz."

Podczas gdy mówił te słowa, wycie przesywającej, ukośnej burzy na zewnątrz zdawało się dodawać nowej siły kaznodziei, który, opisując burzę morską Jonasz, wydawał się sam miotany przez sztorm. Jego głęboka pierś unosiła się jak przy podmuchu wiatru; jego wzburzone ramiona przypominały walczące żywioły; a grzmoty, które toczyły się z jego ciemnej czoła, oraz światło skaczące z jego oczu sprawiały, że wszyscy jego prości słuchacze spoglądali na niego z szybką obawą, która była dla nich dziwna.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy cicho przewracał kartki Księgi raz jeszcze; a w końcu, stojąc nieruchomo, z zamkniętymi oczami, przez chwilę wydawał się rozmawiać z Bogiem i samym sobą.

Ale znów pochylił się w stronę ludzi i, skłaniając nisko głowę, z wyrazem najgłębszej, a zarazem najbardziej męskiej pokory, wypowiedział te słowa: "Towarzysze, Bóg położył tylko jedną rękę na was; obie jego ręce naciskają na mnie. Przeczytałem wam, w jakimś mętnym świetle, które może być moje, lekcję,

jaką Jonasz uczy wszystkich grzeszników; a więc i was, a jeszcze bardziej mnie, bo jestem większym grzesznikiem niż wy. A teraz, jak chętnie zszedłbym z tego masztu i usiadł na pokładzie tam, gdzie wy siedzicie, i słuchał, jak wy słuchacie, podczas gdy ktoś z was czyta mi tę inną i bardziej przerażającą lekcję, którą Jonasz naucza Mnie, jako pilota żywego Boga. Jak będąc namaszczonego pilotem-prorokiem, lub mówcą prawdziwych rzeczy, i wezwanym przez Pana, aby wybrzmiały te niechciane prawdy w uszach złej Niniwy, Jonasz, przerażony wrogością, jaką miałby wzbudzić, uciekł od swojej misji i próbował uciec od swojej powinności i Boga, biorąc statek w Jafie. Ale Bóg jest wszędzie; do Tarsisz nigdy nie dotarł. Jak widzieliśmy, Bóg dotknął go w wielorybie i pochłoniął do żywych otchłani przeznaczenia, a z szybkimi skrętami pociągnął go 'w sam środek morza,' gdzie wirujące głębiny wciągnęły go dziesięć tysięcy fathomów w dół, a 'wodorosty owijały się wokół jego głowy,' a cały wodny świat nieszczęścia zalewał go.

Jednak nawet wtedy, poza zasięgiem jakiegokolwiek sondy, 'z wnętrza piekła!' gdy wieloryb osiadł na najdalszych kościach oceanu, nawet wtedy Bóg usłyszał wchłoniętego, pokutującego proroka, gdy wołał. Wtedy Bóg przemówił do ryby; a z drżącego zimna i czerni morza, wieloryb wynurzył się ku ciepłemu i przyjemnemu słońcu, oraz wszystkim przyjemnościom powietrza i ziemi; i 'wypluł Jonasa na suchą ziemię;' kiedy słowo Pana przyszło po raz drugi; a Jonasz, poturbowany i pobity, jego uszy, jak dwa muszle morskie, wciąż szumiące o oceanie - Jonasz wykonał polecenie Wszechmocnego. A co to było, towarzysze? Głosić Prawdę w obliczu Kłamstwa! Oto to!

"To, towarzysze, to jest ta inna lekcja; a biada temu pilotowi żywego Boga, który ją lekceważy. Biada temu, kogo ten świat odciąga od ewangelicznego obowiązku! Biada temu, kto stara się zlać oliwę na wody, gdy Bóg wzbudził je w huragan! Biada temu, kto stara się zadowolić, zamiast przerazić! Biada temu, którego dobre imię jest dla niego ważniejsze niż dobroć! Biada temu, kto w tym świecie nie unika hańby! Biada temu, kto nie byłby prawdziwy, nawet gdyby kłamstwo oznaczało zbawienie! Tak, biada temu, kto, jak mówi wielki pilot Paweł, głosząc innym, sam jest odrzucony!"

Na chwilę opadł z sił; potem, podnosząc twarz do nich z powrotem, ukazał głęboką radość w swoich oczach, gdy zawołał z niebiańskim entuzjazmem: "Ale o! towarzysze! po prawej stronie każdej niedoli jest pewna radość; a szczyt tej radości jest wyższy, niż głęboki jest dół niedoli. Czyż maszt główny nie jest wyższy niż stępka jest niska? Radość jest dla niego daleką, daleką w górę, i wewnętrzną radością - kto przeciwko dumnym bogom i komandorom tej ziemi, zawsze występuje jako swoje nieugięte ja. Radość jest dla niego, którego silne

ramiona wciąż go podtrzymują, gdy statek tego podłego, zdradliwego świata zatonął pod nim. Radość jest dla niego, kto nie daje żadnego kwartału w prawdzie, i zabija, pali, i niszczy wszelki grzech, choćby wrywał go spod szat senatorów i sędziów. Radość, radość najwyższa jest dla niego, kto nie uznaje żadnego prawa ani pana, tylko Pana swojego Boga, i jest jedynie patriotą nieba. Radość jest dla niego, kogo wszystkie fale wzburzonego morza nie mogą nigdy strząsnąć z tej pewnej stępki Wieku. A wieczna radość i rozkosz będą jego, kto, kładąc się, może powiedzieć z ostatnim tchem: O, Ojczy! - znany mi przede wszystkim przez Twój kij, śmiertelny lub nieśmiertelny, tutaj umieram. Staralem się być Twój, bardziej niż być tego świata lub moim własnym. A jednak to nic: wieczność zostawiam Tobie; bo cóż to za człowiek, że miałby przeżyć życie swojego Boga?"

Nic więcej nie powiedział, ale powoli machając błogosławieństwem, zakrył twarz rękami i tak pozostał na kolanach, aż wszyscy ludzie opuścili to miejsce, a on został sam.

Rozdział 10

Przyjaciół z serca

Wracając do Spouter-Inn z Kaplicy, znalazłem Queequega całkowicie samego; opuścił Kaplicę przed błogosławieństwem jakiś czas temu. Siedział na ławce przed ogniem, z nogami na palenisku, a w jednej ręce trzymał blisko twarzy swojego małego czarnego idola; wpatrując się w jego twarz, delikatnie rzeźbił nosem za pomocą scyzoryka, jednocześnie nucąc coś pod nosem w swoim pogańskim stylu.

Jednak gdy został przerwany, schował obrazek; a niedługo potem, podchodząc do stołu, wziął dużą książkę, która tam leżała, i kładąc ją na kolanach, zaczął z namaszczeniem liczyć strony; na każdej pięćdziesiątej stronie, jak mi się wydawało, zatrzymywał się na chwilę, patrzył pustym wzrokiem wokół siebie i wydobywał długi, przeciągły gwizd zdumienia. Potem zaczynał od nowa przy następnych pięćdziesięciu stronach; wydawało się, że za każdym razem zaczyna od numeru jeden, jakby nie mógł policzyć więcej niż pięćdziesiąt, a jedynie dzięki temu, że tak wiele pięćdziesiątek było razem, jego zdumienie liczbą stron wzrastało.

Z wielkim zainteresowaniem siedziałem, obserwując go. Choć był dziki i straszliwie zniekształcony na twarzy – przynajmniej w moim guście – jego oblicze miało w sobie coś, co wcale nie było nieprzyjemne. Nie można ukryć duszy. Przez wszystkie jego nieziemskie tatuaże, myślałem, że dostrzegam ślady prostego, uczciwego serca; a w jego dużych, głębokich oczach, ognistych, czarnych i odważnych, zdawały się być oznaki ducha, który odważyłby się na tysiąc diabłów. Oprócz tego, był w nim pewien wyniosły sposób bycia, który nawet jego niezdarność nie mógł całkowicie oszpecić. Wyglądał jak człowiek, który nigdy się nie kulił i nie miał wierzyciela. Czy to przez to, że miał ogoloną głowę, jego czoło wydawało się bardziej wyraziste i jaśniejsze i wyglądało na bardziej rozległe niż w przeciwnym razie, tego nie odważę się stwierdzić; ale pewne było, że jego głowa była pod względem frenologii doskonała. Może to wydawać się śmieszne, ale przypominała mi głowę generała Washingtona, jaką można zobaczyć w popularnych popiersiach. Miała ten sam długi, regularnie stopniowy spadek nad brwiami, które również były bardzo wystające, jak dwa długie przyłądki gęsto porośnięte na szczycie. Queequeg był kanibalistycznie rozwiniętym George'em Washingtonem.

Podczas gdy bacznie go obserwowałem, pól udając, że patrzę na burzę przez okno, on wcale nie zwracał uwagi na moją obecność, nie fatygował się nawet jednym spojrzeniem; wydawał się całkowicie zajęty liczeniem stron niezwyklej książki. Biorąc pod uwagę, jak towarzysko spaliśmy razem poprzedniej nocy, a zwłaszcza biorąc pod uwagę czułą rękę, którą znalazłem rzuconą na mnie po przebudzeniu rano, pomyślałem, że ta jego obojętność jest bardzo dziwna. Ale dzicy są dziwnymi istotami; czasami nie wiesz dokładnie, jak ich odbierać. Na początku są onieśmielający; ich spokojna, zebrana prostota wydaje się socraticzną mądrością. Zauważyłem również, że Queequeg wcale nie towarzyszył innym marynarzom w gospodzie. Nie podejmował żadnych prób nawiązania kontaktu; wygląda na to, że nie ma ochoty na rozszerzenie kręgu swoich znajomych. Wszystko to wydało mi się niezwykle osobliwe; jednak, po chwili namysłu, było w tym coś niemal wzniosłego. Oto człowiek jakieś dwadzieścia tysięcy mil od domu, przez przyładek Horn, co było jedynym sposobem, aby tam dotrzeć, wrzucony wśród ludzi, którzy byli dla niego tak obcy, jakby był na planecie Jowisz; a mimo to wydawał się całkowicie swobodny; zachowując największy spokój; zadowolony z własnego towarzystwa; zawsze równy sobie. Z pewnością był to dotyk finezyjnej filozofii; choć nie wątpię, że nigdy nie słyszał o czymś takim. Ale może, aby być prawdziwymi filozofami, my, śmiertelnicy, nie powinniśmy być świadomi naszego życia ani starań. Gdy tylko słyszę, że taki czy inny człowiek przedstawia się jako filozof, wnioskuję, że, jak zgryźliwa staruszka, musiał "zepsuć swój trawnik".

Byłem dobrym chrześcijaninem; urodzonym i wychowanym w łonie nieomylnego Kościoła Prezbiteriańskiego. Jak więc mogłem zjednoczyć się z tym dzikim idoliatrią w czczeniu jego kawałka drewna? Ale co to jest kult? Pomyślałem. Czy sądzisz teraz, Ishmaelu, że wspaniały Bóg nieba i ziemi, w tym poganie i wszyscy inni, może być zazdrosny o nieznaczący kawałek czarnego drewna? Niemożliwe! Ale co to jest kult? - spełniać wolę Bożą - TO jest kult. A co to jest wola Boża? - czynić mojemu bliźniemu to, czego chciałbym, aby mój bliźni czynił mnie - TO jest wola Boża. Teraz Queequeg jest moim bliźnim. A czego pragnę, aby ten Queequeg dla mnie uczynił? Cóż, zjednoczył się ze mną w mojej szczególnej formie kultu prezbiteriańskiego. W związku z tym muszę zjednoczyć się z nim w jego; ergo, muszę stać się idoliatrią. Więc rozpałem wióry; pomogłem podtrzymać niewinny mały idol; poczęstowałem go pieczonym ciastkiem razem z Queequegiem; oddałem mu pokłon dwa lub trzy razy; pocałowałem go w nos; a gdy to było zrobione, rozebraliśmy się i poszliśmy spać, w pokoju z własnym sumieniem i całym światem. Ale nie zasnęliśmy bez małej rozmowy.

Nie wiem, jak to się dzieje; ale nie ma miejsca jak łóżko do zwierzeń między przyjaciółmi. Mówi się, że mąż i żona otwierają przed sobą najgłębsze zakamarki swoich dusz; a niektóre stare pary często leżą i rozmawiają o dawnych czasach aż do prawie rana. Tak więc, w naszym sercowym miesiącu miodowym, leżałem ja i Queequeg - przytulna, kochająca para.

Rozdział 11

Koszula nocna

Leżeliśmy tak w łóżku, rozmawiając i drzemiąc w krótkich odstępach, a Queequeg od czasu do czasu czułością kładł swoje brązowe, tatuowane nogi na moich, a potem je cofał; tak całkowicie towarzyscy, swobodni i zrelaksowani byliśmy; gdy w końcu, z powodu naszych rozmów, to małe drzemki, które nam pozostały, całkowicie zniknęły i poczuliśmy chęć, aby znów wstać, chociaż świt był jeszcze daleko w przyszłości.

Tak, staliśmy się bardzo czujni; tak bardzo, że nasza leżąca pozycja zaczęła być męcząca, i powoli zaczęliśmy siadać; ubrania dobrze wciągnięte wokół nas, opierając się o oparcie łóżka z naszymi czterema kolanami zaciśniętymi blisko siebie i dwoma nosami pochylonymi nad nimi, jakby nasze rzepki były podgrzewaczami. Czułem się bardzo przyjemnie i wygodnie, tym bardziej, że na zewnątrz było tak chłodno; rzeczywiście, także poza kołdrą, widząc, że w pokoju nie było ognia. Powtarzam, że tak było, ponieważ naprawdę, aby cieszyć się ciepłem ciała, jakaś mała część ciebie musi być zimna, bo nie ma jakości na tym świecie, która nie jest tym, czym jest, jedynie przez kontrast. Nic nie istnieje samo w sobie. Jeśli łudzisz się, że jesteś całkowicie komfortowy i byłeś taki od dłuższego czasu, to nie można powiedzieć, że jesteś komfortowy. Ale jeśli, jak

Queequeg i ja w łóżku, czubek twojego nosa lub czubek głowy jest lekko zmarznięty, to wtedy, w ogólnym poczuciu, czujesz się najprzyjemniej i niewątpliwie ciepło. Z tego powodu sypialnia nigdy nie powinna być wyposażona w ogień, co jest jednym z luksusowych dyskomfortów bogatych. Gdyż szczytem tego rodzaju rozkoszy jest mieć tylko koldrę między sobą a swoim komfortem oraz zimnem zewnętrznego powietrza. Wtedy leżysz jak jedna ciepła iskra w sercu arktycznego kryształu.

Siedzieliśmy w tej skulonej pozycji przez jakiś czas, kiedy nagle pomyślałem, że otworzę oczy; ponieważ gdy leżę między prześcieradłami, niezależnie od tego, czy jest dzień, czy noc, a także czy śpię, czy jestem obudzony, zawsze mam zwyczaj trzymania oczu zamkniętych, aby jeszcze bardziej skoncentrować się na przyjemności bycia w łóżku. Bo żaden człowiek nie może prawidłowo poczuć swojej tożsamości, jeśli jego oczy nie są zamknięte; jakby ciemność była rzeczywiście odpowiednim żywiołem naszej istoty, chociaż światło jest bardziej sprzyjające naszej gliniastej naturze.

Kiedy więc otworzyłem oczy i wyszedłem z mojej przyjemnej, samodzielnie stworzonej ciemności w narzuconą i grubą zewnętrzną ciemność nieoświetlonej godziny dwunastej w nocy, doświadczyłem nieprzyjemnego odruchu. Nie miałem też nic przeciwko sugestii Queequega, że może najlepiej byłoby zapalić światło, skoro byliśmy tak całkowicie czujni; poza tym czułem silną potrzebę, aby mieć kilka spokojnych zaciągnięć ze swojego tomahawka. Należy powiedzieć, że chociaż czułem silny opór przed jego paleniem w łóżku poprzedniej nocy, to zobacz, jak elastyczne stają się nasze sztywne uprzedzenia, gdy miłość przychodzi, aby je złamać. Bo teraz nic nie sprawiało mi większej radości niż to, że Queequeg palił obok mnie, nawet w łóżku, ponieważ wydawał się pełen takiej spokojnej domowej radości. Już nie byłem nadmiernie zaniepokojony polityką ubezpieczeń właściciela. Byłem tylko świadomy skondensowanego, poufnego komfortu dzielenia się fajką i kocem z prawdziwym przyjacielem. W naszych kudłatych kurtkach otulonych wokół ramion, przekazywaliśmy sobie tomahawk, aż powoli nad nami utworzył się niebieski, wiszący baldachim dymu, oświetlony płomieniem nowo zapalanej lampy.

Nie wiem, czy ten falujący baldachim przeniósł dzikusa w odległe sceny, ale teraz mówił o swojej ojczystej wyspie; a ja, eager by usłyszeć jego historię, prosiłem go, aby kontynuował i opowiedział ją. Z radością się zgodził. Chociaż w tym czasie ledwo rozumiałem niektóre z jego słów, to jednak późniejsze wyjaśnienia, gdy stałem się bardziej zaznajomiony z jego łamaną frazeologią, teraz pozwalają mi przedstawić całą historię w takiej formie, jaką mogę zaoferować w jedynie szkielecie, który daję.

Rozdział 12

Biografia

Queequeg był mieszkańcem Rokovoko, wyspy daleko na zachodzie i południu. Nie ma jej na żadnej mapie; prawdziwe miejsca nigdy nie są zaznaczone.

Gdy nowo wykluty dzikus biegał dziko po swoich rodzimej lasach w trawie, towarzyszyły mu skubiące kozy, jakby był zieloną sadzonką; nawet wtedy w ambitnej duszy Queequega czaiła się silna chęć zobaczenia czegoś więcej z chrześcijaństwa niż tylko jeden czy dwa okazy wielorybnika. Jego ojciec był wysokim wodzem, królem; jego wuj był wysokim kapłanem; a po stronie matki miał ciotki, które były żonami niepokonanych wojowników. W jego żyłach płynęła doskonała krew - królewska; choć niestety, obawiam się, że zniekształcona przez kanibalistyczne skłonności, które pielęgnował w swojej nieuczzonej młodości.

Statek z Sag Harbor odwiedził zatokę jego ojca, a Queequeg starał się o przeprawę do chrześcijańskich ziem. Jednak statek, mając pełny skład załogi, odrzucił jego prośbę; a żaden wpływ króla, jego ojca, nie mógł temu zaradzić. Ale Queequeg złożył przysięgę. Sam w swojej canoe, odpłynął do odległego cieśniny, o której wiedział, że statek musi przez nią przepłynąć, gdy opuści wyspę. Po jednej stronie był raf koralowy; po drugiej niska łąwa lądowa, pokryta zaroślami mangrowymi, które wystawały w wodę. Ukrywając swoją canoe, wciąż unoszącą się na wodzie, wśród tych zarośli, z dziobem skierowanym w stronę

morza, usiadł na rufie, wiosło nisko w rękę; a gdy statek przepływał obok, jak błysk, wyskoczył z ukrycia; dotarł do boku statku; jednym ruchem nogi przewrócił i zatopił swoją canoe; wdrapał się po łańcuchach; i rzucił się na pokład, chwytając za ring-bolt, przysięgając, że nie puści go, nawet jeśli miałby być pokawałkowany.

Na próżno kapitan groził, że wyrzuci go za burtę; wieształ nad jego nagimi nadgarstkami szabelkę; Queequeg był synem króla i ani drgnął. Uderzony jego desperacką odwagą i dziką chęcią odwiedzenia chrześcijańskiego świata, kapitan w końcu uległ i powiedział mu, że może poczuć się jak u siebie w domu. Ale ten wspaniały młody dzikus, ten morski książę Walii, nigdy nie zobaczył kabiny kapitana. Zabrali go wśród marynarzy i uczynili z niego wielorybnika. Jednak, podobnie jak car Piotr, zadowolony z pracy w stoczniach obcych miast, Queequeg nie gardził żadnym pozornym upokorzeniem, byle tylko mógł szczęśliwie zdobyć umiejętności, które oświeciłyby jego nieuczzone rodaków. Bo w głębi duszy, jak mi powiedział, kierowała nim głęboka pragnienie nauczenia się wśród chrześcijan sztuk, dzięki którym jego ludzie mogliby być jeszcze szczęśliwsi niż są; a co więcej, lepsi niż są. Ale, niestety! Praktyki wielorybników szybko przekonały go, że nawet chrześcijanie mogą być zarówno nieszczęśliwi, jak i źli; znacznie bardziej niż wszyscy poganie jego ojca.

W końcu dotarł do starego Sag Harbor; widząc, co marynarze tam robią; a potem udając się na Nantucket, i widząc, jak tam wydawali swoje zarobki, biedny Queequeg poddał się. Pomyślał, że to zły świat we wszystkich meridianach; umrę jako poganin.

I tak, będąc starym idolią w sercu, żył jednak wśród tych chrześcijan, nosił ich ubrania i starał się mówić ich bełkotem. Stąd jego dziwne zachowanie, mimo że minęło już trochę czasu od jego wyjazdu z domu.

Zadawałem mu pytania, czy nie myśli o powrocie i koronacji; skoro mógł teraz uznać swojego ojca za zmarłego, był on bowiem bardzo stary i słaby w ostatnich relacjach. Odpowiedział, że nie, jeszcze nie; dodał, że obawia się, że chrześcijaństwo, a raczej chrześcijanie, uczynili go niezdolnym do wstąpienia na czysty i nieskalany tron trzydziestu pogan przed nim. Ale wkrótce, powiedział, wróci, jak tylko poczuje się na nowo ochrzczony. Na razie jednak zamierzał żeglować i siać swoje dzikie owies we wszystkich czterech oceanach. Uczynili z niego harpunera, a ten uzbrojony w żelazo zastępował teraz berło.

Zapytałem go, jaki może być jego bezpośredni cel, dotyczący jego przyszłych ruchów. Odpowiedział, że chce znów wypłynąć w morze, w swoim starym

zawodzie. Na to powiedziałem mu, że wielorybnictwo to również mój plan i poinformowałem go o moim zamiarze wypłynięcia z Nantucket, jako że jest to najbardziej obiecujący port dla żadnego przygód wielorybnika. Od razu postanowił towarzyszyć mi na tej wyspie, zaokrętować się na tym samym statku, w tym samym zespole, w tej samej łodzi, w tej samej grupie, krótko mówiąc, dzielić się każdym moim losu; z obiema moimi rękami w jego, odważnie zanurzyć się w wspólne przygody obu światów. Na wszystko to z radością się zgodziłem; bo poza uczuciem, które teraz czułem do Queequega, był on doświadczonym harpunem, a jako taki nie mógł nie być bardzo pomocny dla kogoś, kto, jak ja, był całkowicie ignorantem w tajemnicach wielorybnictwa, choć dobrze znał morze, jak to było znane żeglarzom handlowym. Gdy jego opowieść zakończyła się ostatnim zaciągnięciem z fajki, Queequeg objął mnie, przycisnął swoje czoło do mojego, a następnie zdmuchnął światło. Przewróciliśmy się w przeciwnych kierunkach i bardzo szybko zasnęliśmy.

Rozdział 13

Taczka

Następnego ranka, w poniedziałek, po oddaniu zakonserwowanej głowy barberowi, za blok, uregulowałem swoje i towarzysza rachunki, wykorzystując jednak pieniądze mojego towarzysza. Uśmiechnięty właściciel oraz lokatorzy wydawali się niesamowicie rozbawieni nagłą przyjaźnią, która zawiązała się między mną a Queequeg, szczególnie po tym, jak opowieści Petera Coffina o nim wcześniej tak bardzo mnie zaniepokoiły w związku z osobą, z którą teraz się zadawałem.

Pożyczyliśmy taczkę i pakując nasze rzeczy, w tym moją biedną torbę podróżną oraz płócienny worek i hamak Queequega, ruszyliśmy w kierunku "Mchu", małego szkunera z Nantucket zacumowanego przy nabrzeżu. Gdy szliśmy, ludzie się gapili; nie tak bardzo na Queequega – bo byli przyzwyczajeni do widoku kanibali jak on na swoich ulicach – ale na to, że widzieli mnie z nim w tak zażyłych stosunkach. Jednak nie zwracaliśmy na nich uwagi, prowadząc taczki na przemian, a Queequeg od czasu do czasu zatrzymywał się, aby dostosować osłonę na ostrza swojego harpuna. Zapytałem go, dlaczego zabiera ze sobą na brzeg tak kłopotliwą rzecz i czy wszystkie statki wielorybnicze nie mają swoich harpunów. Na to, w istocie, odpowiedział, że chociaż to, co zasugerowałem, było prawdą, miał jednak szczególny sentyment do swojego harpuna, ponieważ był on z pewnego materiału, dobrze wypróbowany w wielu śmiertelnych walkach i głęboko związany z sercami wielorybów. Krótko mówiąc, podobnie jak wielu rolników i kosiarzy, którzy wchodzą na pola rolników uzbrojeni w swoje własne kosy, mimo że wcale nie są do tego zobowiązani – tak i Queequeg, z własnych prywatnych powodów, wolał swój własny harpun.

Przesuwając taczkę z mojej ręki do swojej, opowiedział mi zabawną historię o pierwszej taczce, jaką kiedykolwiek widział. Było to w Sag Harbor. Właściciele jego statku, jak się wydaje, pożyczili mu jedną, aby mógł przewieźć swoją ciężką skrzynię do swojego domu. Nie chcąc wydawać się ignorantem w tej kwestii – chociaż w rzeczywistości był całkowicie nieświadomy, jak właściwie obsługiwać taczkę – Queequeg kładzie swoją skrzynię na taczce, mocno ją przywiązuje, a następnie bierze taczkę na ramię i rusza w górę nabrzeża.

„Dlaczego,” powiedziałem, „Queequeg, można by pomyśleć, że powinieneś to wiedzieć lepiej. Czy ludzie się nie śmiali?”

Na to opowiedział mi kolejną historię. Ludzie z jego wyspy Rokovoko, jak się wydaje, podczas swoich wesel wyciskają pachnącą wodę z młodych kokosów do dużego, zdobionego kalabasa, przypominającego miskę na poncz; a ta misa zawsze stanowi główną ozdobę na plecionym macie, na której odbywa się uczta. Pewnego razu do Rokovoko zawinął pewien wielki statek handlowy, a jego dowódca, z tego, co słyhać, był bardzo dostojnym, punktualnym dżentelmenem, przynajmniej jak na kapitana statku. Ten dowódca został zaproszony na wesele siostry Queequega, ładnej młodej księżniczki, która właśnie skończyła dziesięć lat.

Gdy wszyscy goście weselni zebrali się w bambusowej chacie panny młodej, kapitan wchodzi, zajmuje miejsce honorowe naprzeciwko miski na poncz, pomiędzy najwyższym kapłanem a jego królewską mością, królem, ojcem Queequega. Po odmówieniu modlitwy – bo ci ludzie mają swoją modlitwę, podobnie jak my – chociaż Queequeg powiedział mi, że w przeciwieństwie do nas, którzy w takich momentach patrzymy w dół na nasze talerze, oni, na odwrót, naśladując kaczkę, spoglądają w górę na wielkiego Dawcę wszystkich uczt – gdy modlitwa została odmówiona, najwyższy kapłan otwiera bankiet, wykonując nieodmienny rytuał wyspy; to znaczy, zanurza swoje konsekrowane palce w misce, zanim błogosławiony napój zacznie krążyć.

Widząc siebie obok kapłana, zauważając ceremonię i myśląc, że jako kapitan statku ma wyraźne pierwszeństwo nad zwykłym królem wyspy, szczególnie w domu króla – kapitan spokojnie przystępuje do mycia rąk w misce na poncz, biorąc ją prawdopodobnie za ogromny kieliszek do szampana. „A teraz,” powiedział Queequeg, „co myślisz? – Czy nasi ludzie się nie śmiali?”

W końcu, po opłaceniu pasażu i zabezpieczeniu bagażu, staliśmy na pokładzie szkunera. Podnosząc żagle, jednostka sunęła w dół rzeki Acushnet. Z jednej strony, Nowy Bedford wznosił się na tarasach ulic, a ich pokryte lodem drzewa

Isniły w czystym, zimnym powietrzu. Olbrzymie wzgórza i góry beczek były stosowane na jej nabrzeżach, a obok cichły statki wielorybie, które w końcu bezpiecznie zacumowały; z innych statków dobiegał dźwięk stolarzy i bednarzy, mieszając się z odgłosami ognisk i pieców topniejących smołę, wszystko to zwiastowało, że nowe rejsy są na horyzoncie; że jedna, najniebezpieczniejsza i najdłuższa podróż się skończyła, a tylko zaczyna się druga; a druga kończy się, tylko zaczyna się trzecia i tak dalej, na zawsze. Taki jest bezkres, tak, nie do zniesienia, wszelkiego ziemskiego wysiłku.

Gdy dotarliśmy do bardziej otwartej wody, orzeźwiający wiatr stał się świeższy; mały szkuner „Moss” unosił na swych dziobach szybkie białe fale, jak młody żrebak. Jakże chłonałem ten tatarski powietrze! Jakże czułem się na tej utwardzonej ziemi, na tej wspólnej drodze, pokrytej śladami niewolniczych pięt i kopyt; i zwróciłem się, by podziwiać wspaniałomyślność morza, które nie pozwala na żadne ślady.

Przy tym samym źródle piany, Queequeg zdawał się pić i kręcić się ze mną. Jego ciemne nozdrza rozszerzyły się; pokazał swoje spiłowane i ostre zęby. Lecieliśmy dalej; gdy zdobyliśmy otwarte wody, „Moss” oddał hołd wiatrowi; zanurzał i nurkował dziobem jak niewolnik przed Sułtanem. Przechylając się na bok, przeskakiwaliśmy na boki; każda lina drgała jak drut; dwa wysokie maszty wyginały się jak indyjskie trzciny w tornado lądowe. Tak bardzo byliśmy pochłonięci tym wirującym widokiem, gdy staliśmy przy skaczącym bukszprycie, że przez jakiś czas nie zauważyliśmy szyderczych spojrzeń pasażerów, niezdarnie zgromadzonych, którzy dziwili się, że dwie istoty mogą być tak towarzyskie: jakby biały człowiek był czymś więcej niż wybielonym czarnoskórym.

Jednak byli tam też niektórzy głupcy i prostacy, którzy, ze swoją intensywną zielonością, musieli pochodzić z serca i centrum całej zieleni. Queequeg złapał jednego z tych młodych drzewek, który naśladował go za jego plecami. Pomyślałem, że nadciągnęła godzina zagłady dla prostaka. Zrzucając swój harpun, potężny dzikus złapał go w ramiona i, dzięki niemal cudownej zręczności i sile, wysłał go wysoko w powietrze; a następnie lekko stukając go w tyłek w trakcie salta, facet wylądował, zapadając na płuca, na swoich nogach, podczas gdy Queequeg, odwracając od niego plecy, zapalił swoją fajkę tomahawk i podał mi, żebym się zaciągnął.

„Kapitanie! Kapitanie!” krzyczał prostak, biegnąc w kierunku oficera; „Kapitanie, Kapitanie, tu jest diabeł.”

„Halo, panie,” zawołał kapitan, wychudzony jak kość morskiego olbrzyma, podchodząc do Queequega, „co do cholery masz na myśli? Nie wiesz, że mogłeś zabić tego gościa?”

„Co on mówi?” zapytał Queequeg, łagodnie zwracając się do mnie.

„On mówi,” powiedziałem, „że prawie zabiłeś tego człowieka tam,” wskazując na nadal drżącego żółtodzioba.

„Zabić?” krzyknął Queequeg, wykrzywiając swoją tatuażu twarz w nienaturalnym wyrazie pogardy, „ah! On to bardzo mała ryba; Queequeg nie zabija tak małych ryb; Queequeg zabija dużego wieloryba!”

„Słuchaj,” ryknął kapitan, „zabiję cię, ty kanibalu, jeśli spróbujesz jeszcze swoich sztuczek na pokładzie; więc uważaj.”

Ale tak się złożyło, że nadszedł czas, aby kapitan zajął się sobą. Ogromne napięcie na żaglu głównym zerwało wiatrówkę, a potężny bom zaczął latać z boku na bok, całkowicie zamiatając tylną część pokładu. Biedny facet, z którym Queequeg tak brutalnie się obszedł, został zdmuchnięty za burtę; wszyscy byli w panice, a próba złapania bomu, by go zatrzymać, wydawała się szaleństwem. Bom przemieszczał się z prawej na lewą stronę, a następnie z powrotem, niemal w jednym tyknięciu zegara, a każda chwila wydawała się być na skraju pęknięcia na kawałki. Nic nie zrobiono, a nic nie wydawało się być możliwe do zrobienia; ci na pokładzie rzucili się w kierunku dziobu i stali, przyglądając się bo mówi, jakby to była dolna szczęka wściekłego wieloryba.

Wśród tego zamieszania Queequeg zręcznie upadł na kolana, a czołgając się pod tor bomu, chwycił za linę, zabezpieczył jeden koniec do burty, a następnie, rzucając drugi koniec jak lasse, złapał go wokół domu, gdy ten przelatował nad jego głową. Przy następnym szarpnięciu, bom został w ten sposób uwięziony, a wszystko stało się bezpieczne. Szkuner został skierowany w stronę wiatru, a podczas gdy załoga usuwała łódź rufową, Queequeg, rozebrany do pasa, wyskoczył z boku z długim, żywym skokiem. Przez trzy minuty lub dłużej widziano go pływającego jak pies, wyciągającego długie ramiona przed siebie, a na przemian odsłaniającego swoje muskularne ramiona przez lodowatą pianę. Patrzyłem na tego wspaniałego i wspaniałego faceta, ale nie widziałem nikogo, kogo można by uratować. Żółtodziób zniknął pod wodą. Wyskakując prosto z wody, Queequeg rzucił błyskawiczne spojrzenie dookoła, a widząc, jak sprawy wyglądają, zanurkował i zniknął. Po kilku minutach wynurzył się ponownie, jedna ręka wciąż wymachując, a drugą ciągnąc bezwładne ciało. Łódź szybko ich

podniosła. Biedny prostak został uratowany. Cała załoga uznała Queequega za wspaniałego bohatera; kapitan przeprosił go. Od tej chwili trzymałem się Queequega jak przywieranie; tak, aż biedny Queequeg zanurzył się po raz ostatni.

Czy zdarzyła się kiedykolwiek taka nieświadomość? Nie wydawało się, by myślał, że zasługuje na medal od Towarzystw Humanitarnych i Wspaniałomyślnych. Tylko prosił o wodę – świeżą wodę – coś, by zetrzeć sól; po tym, jak to zrobił, założył suche ubrania, zapalił swoją fajkę, a opierając się o burtę, łagodnie przyglądając się otaczającym go osobom, wydawał się mówić do siebie: „To wspólny, akcjonariuszowi świat, we wszystkich meridianach. My, kanibale, musimy pomagać tym chrześcijanom.”

Rozdział 14

Nantucket

Nic więcej nie wydarzyło się w trakcie podróży, co zasługiwałoby na wzmiankę; więc po udanym rejsie bezpiecznie dotarliśmy do Nantucket. Nantucket! Wyciągnij mapę i spójrz na nią. Zobacz, jaki prawdziwy zakątek świata zajmuje; jak stoi tam, daleko od brzegu, bardziej samotnie niż latarnia Eddystone. Spójrz na to – to tylko wzgórze i łuk piasku; cała plaża, bez łąki. Jest tam więcej piasku, niż mógłbyś użyć przez dwadzieścia lat jako substytut papieru do wytłaczania. Niektórzy żartobliwie ludzie powiedzą ci, że muszą tam sadzić chwasty, bo nie rosną naturalnie; że importują osty kanadyjskie; że muszą wysyłać po za morze, aby zdobyć kołek, który zatka dziurę w beczce z olejem; że kawałki drewna w Nantucket nosi się jak kawałki prawdziwego krzyża w Rzymie; że ludzie tam sadzą muchomory przed swoimi domami, aby móc schować się w cieniu latem; że jedno źdźbło trawy tworzy oazę, a trzy źdźbła w odległości jednego dnia spaceru to preria; że noszą buty z quicksandu, coś w rodzaju nart lapońskich; że są tak zamknięci, otoczeni, każdy kierunek zamknięty, otoczeni i uczynieni całkowitą wyspą przez ocean, że nawet do ich krzesel i stołów czasami przyczepiają się małe małże, jak do grzbietów żółwi morskich. Ale te ekstrawagancje tylko pokazują, że Nantucket to nie Illinois.

Patrz teraz na wspaniałą tradycyjną opowieść o tym, jak ta wyspa została zasiedlona przez czerwonych ludzi. Tak brzmi legenda. W dawnych czasach orzeł zstąpił na wybrzeże Nowej Anglii i porwał w swoje szpony indyjskiego niemowlęcia. Z głośnym lamentem rodzice obserwowali, jak ich dziecko znika w szerokich wodach. Postanowili podążać w tym samym kierunku. Wyruszyli w swoich kanu, a po niebezpiecznej podróży odkryli wyspę, gdzie znaleźli pustą kość słoniową, szkielet biednego małego Indianina.

Co za zdziwienie, że ci Nantucketczycy, urodzeni na plaży, postanowili szukać utrzymania w morzu! Najpierw łapali kraby i quohogi w piasku; stając się

śmielszymi, wchodzili do wody z sieciami na makrele; nabierając doświadczenia, wypływali w łodziach i łowią dorsze; a w końcu, wypuszczając na morze flotę wielkich statków, eksplorowali ten wodny świat; otoczyli go nieustannym pasem okrążających podróży; zaglądali do Cieśnin Beringa; a w każdej porze roku i we wszystkich oceanach ogłosili wieczną wojnę z najpotężniejszą masą ożywioną, która przetrwała potop; najbardziej potworną i najbardziej górzystą! Ten himalajski, słonowodny mastodont, obdarzony taką przerażającą siłą nieświadomej mocy, że jego paniki są bardziej przerażające niż jego najodważniejsze i najbardziej złośliwe ataki!

I tak ci nadzy Nantucketczycy, ci morscy pustelnicy, wychodząc ze swojej mrówki w morzu, podbili i zdobyli wodny świat niczym wielu Aleksandrów; podzielili między siebie Atlantyk, Pacyfik i Ocean Indyjski, jak trzy pirackie mocarstwa podzieliły Polskę. Niech Ameryka doda Meksyk do Teksasu i nałoży Kubę na Kanadę; niech Anglicy opanują całą Indię i powieszą swoje płonące sztandary na słońcu; dwie trzecie tej ziemsko-morskiej kuli należy do Nantucketczyków. Bo morze należy do niego; on je posiada, tak jak cesarze posiadają swoje imperia; inni żeglarze mają tylko prawo przejścia przez nie. Statki handlowe to tylko mosty rozszerzające; statki zbrojne to tylko pływające fortece; nawet piraci i privateerzy, choć podążają za morzem jak rabusie za drogą, tylko plądrują inne statki, inne fragmenty lądu jak oni sami, nie starając się czerpać życia z samej bezdennej głębi. Nantucketczyk, on sam mieszka i szaleje na morzu; on jeden, w języku biblijnym, schodzi do niego w statkach; tam i z powrotem orze je jak swoją własną plantację. TAM jest jego dom; TAM leży jego biznes, który nawet potop Noego by nie przerwał, choć zalałby wszystkie miliony w Chinach. Żyje na morzu, jak kurczaki stepowe na prerii; chowa się wśród fal, wspina się na nie jak myśliwi na chamois wspinają się na Alpy. Przez lata nie zna lądu; tak, że gdy w końcu do niego dotrze, pachnie jak inny świat, bardziej dziwnie niż księżyc dla człowieka ziemskiego. Z bezludnej mewy, która o zachodzie słońca składa skrzydła i kołysze się na falach do snu; tak o zmroku Nantucketczyk, z dala od lądu, zwija żagle i kładzie się do odpoczynku, podczas gdy pod jego poduszką przemykają stada morsów i wielorybów.

Rozdział 15

Zupa rybna

Była już dość późna pora wieczorna, gdy mały statek Moss bezpiecznie stanął na kotwicy, a Queequeg i ja zeszliśmy na ląd; więc tego dnia nie mogliśmy zająć się żadnym interesem, przynajmniej żadnym poza kolacją i łóżkiem. Właściciel Spouter-Inn polecił nas swojemu kuzynowi Hosei Husseyowi z Try Pots, którego zapewniał, że jest właścicielem jednego z najlepiej prowadzonych hoteli w całym Nantucket, a ponadto zapewnił nas, że kuzyn Hosea, jak go nazywał, słynie z chowderów. Krótko mówiąc, wyraźnie zasugerował, że nie możemy zrobić nic lepszego niż spróbować pot-luck w Try Pots. Jednakże, wskazówki, jakie nam dał, dotyczące trzymania żółtego magazynu po prawej stronie, aż zobaczymy białą kościół po lewej, a potem trzymania go po lewej stronie, aż skręcimy w róg o trzy punkty w prawo, a potem zapytania pierwszego napotkanego człowieka, gdzie jest to miejsce, te pokręcone instrukcje bardzo nas na początku dezorientowały, szczególnie że na początku Queequeg upierał się, że żółty magazyn – nasz pierwszy punkt wyjścia – musi być zostawiony po lewej stronie, podczas gdy ja zrozumiałem, że Peter Coffin powiedział, że jest po prawej. Jednak po pewnym czasie błędzenia w ciemności i od czasu do czasu budzenia pokojowego mieszkańca, aby zapytać o drogę, w końcu dotarliśmy do miejsca, które nie mogło budzić żadnych wątpliwości.

Dwa ogromne drewniane garnki pomalowane na czarno, zawieszane na uszach osła, huśtały się na krzyżakach starego masztu, umieszczonego przed starym wejściem. Rogi krzyżaków były ścięte po drugiej stronie, przez co ten stary maszt wyglądał nieco jak szubienica. Może byłem wówczas zbyt wrażliwy na takie wrażenia, ale nie mogłem się powstrzymać od wpatrywania się w tę szubienicę z niejasnym niepokojem. Czułem rodzaj napięcia w szyi, gdy patrzyłem w górę na dwa pozostałe rogi; tak, DWA z nich, jeden dla Queequega, a drugi dla mnie. To złowieszcze, pomyślałem. Trumna, którą mój gospodarz przyniósł do mojego pierwszego portu wielorybniczego; nagrobki, które patrzyły na mnie w kaplicy wielorybników; a tutaj – szubienica! I para ogromnych

czarnych garnków również! Czy te ostatnie rzucają niejasne wskazówki dotyczące Tophet?

Z tych rozmyślań wyrwał mnie widok piegowatej kobiety z żółtymi włosami i żółtą suknią, stojącej w przedsionku gospody, pod przygaszoną czerwoną lampą, która wyglądała jak zranione oko, i energicznie kłócącej się z mężczyzną w purpurowej wełnianej koszuli.

„Idź stąd!” powiedziała do mężczyzny, „bo cię wygarnę!”

„Chodź, Queequeg” – powiedziałem, „wszystko w porządku. To pani Hussey.”

I tak się okazało; pan Hosca Hussey był nieobecny, ale pozostawił panią Hussey całkowicie kompetentną do zajmowania się wszystkimi swoimi sprawami. Po wyrażeniu naszych pragnień dotyczących kolacji i łóżka, pani Hussey, odkładając dalsze nagany na później, wprowadziła nas do małego pomieszczenia, posadziła przy stole nakrytym resztkami niedawno zakończonego posiłku, po czym zwróciła się do nas i powiedziała: „Małże czy dorsze?”

„Co to za dorsze, proszę pani?” – zapytałem z dużą uprzejmością.

„Małże czy dorsze?” – powtórzyła.

„Małże na kolację? Zimne małże; CZY O TO PANI CHODZI, PANI HUSSEY?” – mówię, „ale to dość zimne i wilgotne przyjęcie zimą, prawda, pani Hussey?”

Jednak w wielkim pośpiechu, aby wznowić naganę dla mężczyzny w purpurowej koszuli, który czekał na to w wejściu, i wydawało się, że słyszy tylko słowo „małże”, pani Hussey szybko podeszła do otwartych drzwi prowadzących do kuchni i krzyknęła: „Małż dla dwóch”, po czym zniknęła.

„Queequeg” – powiedziałem, „czy myślisz, że możemy zjeść kolację we dwoje na jednym małżu?”

Jednak ciepła, aromatyczna para wydobywająca się z kuchni obiecywała coś więcej niż ponury widok przed nami. Ale gdy ta dymiąca zupa rybna weszła do środka, tajemnica została wspaniale wyjaśniona. O, drodzy przyjaciele! Posłuchajcie mnie. Zupa była zrobiona z małych soczystych małży, ledwie większych niż orzechy laskowe, zmieszanych z rozdrobnionym sucharem i solonym wieprzowiną pokrojoną na małe kawałki; całość wzbogacona masłem i obficie przyprawiona pieprzem i solą. Nasze apetyty były zaostrome przez

mroźną podróż, a szczególnie Queequeg, widząc swoje ulubione rybne jedzenie przed sobą, a zupa była wyjątkowo doskonała, szybko ją zjedliśmy. Kiedy oparłem się na chwilę i przypomniałem sobie zapowiedź pani Hussey o małżach i dorszach, pomyślałem, że spróbuję małego eksperymentu. Podchodząc do drzwi kuchni, wykrzyknąłem słowo „dorsz” z dużym naciskiem, a następnie wróciłem na swoje miejsce. Po kilku chwilach aromatyczna para znów się pojawiła, ale o innym smaku, a wkrótce przed nami postawiono pyszną zupę rybną z dorsza.

Wznowiliśmy rozmowę, a podczas gdy wbijaliśmy łyżki w misę, pomyślałem sobie: ciekawe, czy to ma jakiś wpływ na głowę? Co to za głupie powiedzenie o ludziach z zupą rybną w głowie? „Ale spójrz, Queequeg, czy to nie jest żywy węgorz w twojej misce? Gdzie twój harpun?”

Najbardziej rybnym z wszystkich rybnych miejsc było Try Pots, które zasługiwało na swoją nazwę; bo garnki tam zawsze wrzały zupą rybną. Zupa rybna na śniadanie, zupa rybna na obiad i zupa rybna na kolację, aż zaczynałeś szukać ości rybnych, które wystają z twoich ubrań. Obszar przed domem był wyłożony muszlami małży. Pani Hussey nosiła wypolerowany naszyjnik z kręgów dorsza, a Hosea Hussey miał swoje księgi rachunkowe oprawione w skórę starego rekina. Mleko miało też rybny posmak, którego nie mogłem w ogóle wytłumaczyć, aż pewnego poranka, spacerując po plaży wśród łodzi rybackich, zobaczyłem, jak było Hosea, w pasiastej sierści, pasie się na resztkach ryb, krocząc po piasku z każdą nogą w odciętej głowie dorsza, wyglądając bardzo niechlujnie, zapewniam cię.

Po zakończeniu kolacji otrzymaliśmy lampę i wskazówki od pani Hussey dotyczące najbliższej drogi do łóżka; ale gdy Queequeg miał mnie wyprzedzić na schodach, pani wyciągnęła rękę i zażądała jego harpuna; nie pozwalała na harpuna w swoich pokojach. „Dlaczego nie?” – zapytałem; „każdy prawdziwy wielorybnik śpi ze swoim harpunem, ale dlaczego nie?” „Ponieważ to niebezpieczne” – odpowiedziała. „Odkąd młody Stiggs wrócił z tej nieszczęsnej podróży, gdy był nieobecny przez cztery i pół roku, zaledwie z trzema beczkami oleju, został znaleziony martwy na moim pierwszym piętrze, z harpunem w boku; od tamtej pory nie pozwalam żadnym gościom brać takich niebezpiecznych broni do swoich pokoi na noc. Więc, panie Queequeg” (bo nauczyła się jego imienia), „wezmę ten żelazny harpun i przechowam go dla ciebie do rana. A co do zupy rybnej; małże czy dorsze na śniadanie jutro, panowie?”

„Oba” – mówię; „a do tego weźmy kilka wędzonych śledzi dla urozmaicenia.”

Rozdział 16

Statek

W łóżku snuliśmy plany na jutrzejszy dzień. Jednak ku mojemu zaskoczeniu i nie małemu zaniepokojeniu, Queequeg dał mi do zrozumienia, że pilnie konsultował się z Yojo, imieniem swojego małego czarnego boga, a Yojo powiedział mi dwa lub trzy razy, i stanowczo to podkreślił, że zamiast wspólnie udać się wśród floty wielorybniczej w porcie i wspólnie wybierać nasz statek; zamiast tego, jak powiedział, Yojo gorąco zalecił, aby wybór statku leżał całkowicie w moich rękach, ponieważ Yojo zamierzał nas przyjaźnie wspierać; w tym celu już wybrał jednostkę, którą, gdybym działał sam, ja, Ismaelu, na pewno bym znalazł, jakby to było przypadkowe; i w tym statku muszę natychmiast się zaokrętować, niezależnie od Queequega.

Zapomniałem wspomnieć, że w wielu sprawach Queequeg miał wielkie zaufanie do doskonałości osądów Yojo i jego zdolności przewidywania; darzył Yojo znacznym szacunkiem, jako dość dobrego boga, który może ogólnie miał dobre intencje, ale w każdym przypadku nie odnosił sukcesu w swoich dobroczynnych zamiarach.

Teraz ten plan Queequega, a raczej Yojo, dotyczący wyboru naszego statku, zupełnie mi się nie podobał. W dużej mierze polegałem na mądrości Queequega, aby wskazał nam wielorybnika najlepiej przystosowanego do bezpiecznego przewozu nas i naszych majątków. Jednak wszystkie moje protesty nie miały wpływu na Queequega, więc musiałem się zgodzić; postanowiłem zająć się tym zadaniem z determinacją i energią, aby szybko załatwić tę drobną sprawę.

Następnego ranka, wcześniej, zostawiając Queequega zamkniętego z Yojo w naszej małej sypialni – wydawało się, że tego dnia obchodzą jakiegoś rodzaju Wielki Post lub Ramadan, czy dzień postu, pokory i modlitwy – nie mogłem dowiedzieć się, jak to było, ponieważ, mimo że próbowałem kilka razy, nigdy nie mogłem pojąć ich liturgii i XXXIX artykułów. Zostawiając więc Queequega, który pościł przy swojej fajce tomahawku, a Yojo rozgrzewał się przy swoim ofiarnym ognisku z wiórów, wyruszyłem wśród statków.

Po długim spacerze i wielu przypadkowych pytaniach dowiedziałem się, że są trzy statki, które szykują się do trzyletnich rejsów: Devil-dam, Tit-bit i Pequod. Nie znam pochodzenia Devil-dam; Tit-bit jest oczywiste; Pequod, jak zapewne pamiętasz, to nazwa słynnego plemienia Indian z Massachusetts, które teraz jest wymarłe jak starożytni Medowie. Zajrzałem do Devil-dam, potem przeszedłem do Tit-bit, a w końcu, wchodząc na pokład Pequoda, rozejrzałem się przez chwilę i zdecydowałem, że to właśnie ten statek jest dla nas.

Możesz widzieć wiele osobliwych statków w swoim życiu, na co się nie zna; kwadratowe łodzie, górzyste japońskie junky, galiony w stylu masła i tym podobne; ale uwierz mi, nigdy nie widziałeś tak rzadkiego starego statku jak ten sam rzadki stary Pequod. Była to jednostka starej szkoły, raczej mała, jeśli już; miała staroświecki wygląd z pazurami. Długo sezonowana i pokryta śladami pogody w tajfunach i spokojach wszystkich czterech oceanów, jej stary kadłub był przyciemniony jak francuski grenadier, który walczył zarówno w Egipcie, jak i na Syberii. Jej wiekowe dzioby wyglądały na brodate. Maszty - ścięte gdzieś na wybrzeżu Japonii, gdzie jej oryginalne zaginęły podczas sztormu - stały sztywno jak kręgosłupy trzech starych królów Kolonii. Jej starożytne pokłady były zużyte i pomarszczone, jak czczony przez pielgrzymów kamień flagowy w katedrze w Canterbury, gdzie Becket krwawił.

Jednak do tych wszystkich starych antyków dodano nowe i niezwykle cechy, związane z dziką działalnością, którą przez ponad pół wieku prowadziła. Stary kapitan Peleg, przez wiele lat jej główny oficer, zanim dowodził innym statkiem, a teraz emerytowany marynarz i jeden z głównych właścicieli Pequoda - ten stary Peleg, w czasie swojej kadencji jako główny oficer, zbudował na jej oryginalnej groteskowości i wyłożył ją wszędzie osobliwością zarówno materiału, jak i wzoru, której nie można było porównać z niczym, chyba że z rzeźbioną tarczą lub łóżkiem Thorkilla-Hake'a.

Była ubrana jak jakiś barbarzyński etiopski imperator, z ciężkim naszyjnikiem z polerowanej kości słoniowej. Była czymś w rodzaju trofeum. Kanibalistyczna jednostka, ozdabiająca się kośćmi swoich wrogów. Wokół jej niepanelowanych, otwartych burty ozdobione były jak jeden ciągły szczek, z długimi, ostrymi zębami sperm whale, włożonymi tam jako gwoździe, aby przymocować jej stare, konopne ścięgna i ścięgna. Te ścięgna nie biegły przez podstawowe bloki z drewna lądowego, ale zręcznie przemieszczały się po pęczkach morskiej kości słoniowej.

Nie zważając na obrotowe koło na swoim czcigodnym sterze, miała tam drążek; a ten drążek był w całości, dziwnie rzeźbiony z długiej, wąskiej dolnej szczęki jej

dziedzicznego wroga. Sternik, który kierował tym drążkiem w burzy, czuł się jak Tatar, gdy trzymał swojego ognistego rumaka, chwytając go za szczękę. Wspaniała jednostka, ale jakoś bardzo melancholijna! Wszystkie wspaniałe rzeczy mają w sobie ten smutek.

Gdy rozejrzałem się po pokładzie, szukając kogoś z autorytetem, aby zaproponować swoją kandydaturę na rejs, na początku nikogo nie zauważyłem; ale nie mogłem przeoczyć dziwnego rodzaju namiotu, a raczej wigwamu, rozbitego nieco za masztem głównym. Wydawał się być tylko tymczasową konstrukcją używaną w porcie. Miał kształt stożkowy, około dziesięciu stóp wysokości; składał się z długich, ogromnych płyt elastycznej czarnej kości, wziętych z części szczęk płetwala. Osadzone szerokimi końcami na pokładzie, okrąg tych płyt spletał się ze sobą, wzajemnie nachylając się ku sobie, a na szczycie łączył się w kępkę, gdzie luźne, włochate włókna falowały na boki jak kitka na głowie jakiegoś starego sachema Pottawattamie. Trójkątne otwarcie było skierowane w stronę dziobu statku, dzięki czemu osoba wewnątrz miała pełny widok na przód.

Po części ukryty w tym dziwacznym domku, w końcu znalazłem kogoś, kto według swojego wyglądu wydawał się mieć autorytet; a ponieważ była południe, a prace na statku były wstrzymane, teraz cieszył się chwilą wytchnienia od ciężaru dowodzenia. Siedział na staroświeckim dębowym krześle, ozdobionym ciekawymi rzeźbieniami, którego siedzisko wykonane było z mocno splecionych włókien tego samego elastycznego materiału, z którego zbudowany był wigwam.

Nie było może niczego szczególnego w wyglądzie starszego mężczyzny, którego zobaczyłem; był brązowy i muskularny, jak większość starych marynarzy, i mocno owinięty w niebieską tkaninę pilotową, krojoną w stylu kwakerskim; jedynie wokół jego oczu była delikatna i niemal mikroskopijna sieć najmniejszych zmarszczek, która musiała powstać w wyniku jego nieustannych rejsów w trudnych sztormach, zawsze patrząc w kierunku wiatru; ponieważ to powoduje, że mięśnie wokół oczu się napinają. Takie zmarszczki wokół oczu są bardzo skuteczne w wyrażaniu gniewu.

„Czy to jest kapitan Pequoda?” - zapytałem, zbliżając się do drzwi namiotu.

„Zakładając, że to kapitan Pequoda, czego od niego chcesz?” - zapytał.

„Myślałem o zaokrętowaniu się.”

„Myślałeś, tak? Widzę, że nie jesteś Nantucketerem. Kiedykolwiek byłeś w łodzi z piecem?”

„Nie, panie, nigdy nie byłem.”

„Nie wiesz nic o wielorybnictwie, jak sędzę, co?”

„Nic, panie; ale nie wątpię, że szybko się nauczę. Byłem na kilku rejsach w żegludze handlowej, i myślę, że —”

„Żegluga handlowa, do diabła! Nie mów mi tym językiem. Widzisz tę nogę? Zdejmę tę nogę z twojego tyłu, jeśli kiedykolwiek znowu powiesz mi o żegludze handlowej. Żegluga handlowa, rzeczywiście! Przypuszczam, że teraz czujesz się całkiem dumny, że zasłużyłeś na tych statkach handlowych. Ale flaki! Człowieku, co cię skłania do chęci zostania wielorybnikiem, co? Wygląda to trochę podejrzanie, prawda? Nie byłeś piratem, prawda? Nie okradałeś swojego ostatniego kapitana, prawda? Nie myślisz o zamordowaniu oficerów, gdy dostaniesz się na morze?”

Protestowałem swoją niewinność w tych sprawach. Zauważyłem, że pod maską tych pół żartobliwych aluzji, ten stary marynarz, jako izolowany kwakerski Nantucketer, był pełen swoich insularnych uprzedzeń i raczej nieufny wobec wszystkich obcych, chyba że pochodzili z Cape Cod lub Vineyard.

„Ale co cię skłania do wielorybnictwa? Chcę to wiedzieć, zanim pomyślę o twoim zaokrętowaniu.”

„Cóż, panie, chcę zobaczyć, czym jest wielorybnictwo. Chcę zobaczyć świat.”

„Chcesz zobaczyć, czym jest wielorybnictwo, co? Czy widziałeś kapitana Ahab?”

„Kim jest kapitan Ahab, panie?”

„Aha, myślałem, że tak. Kapitan Ahab jest kapitanem tego statku.”

„W takim razie się myliłem. Myślałem, że rozmawiam z samym kapitanem.”

„Rozmawiasz z kapitanem Pelegiem, to właśnie z nim rozmawiasz, młody człowieku. To do mnie i kapitana Bildada należy dopilnowanie, aby Pequod był przygotowany do rejsu i zaopatrzony we wszystkie potrzebne rzeczy, łącznie z załogą. Jesteśmy współwłaścicielami i agentami. Ale jak miałem powiedzieć, jeśli

chcesz wiedzieć, czym jest wielorybnictwo, jak mówisz, że chcesz, mogę ci pokazać, jak się o tym dowiedzieć, zanim się do tego zobowiążesz, bez możliwości wycofania się. Zwróć uwagę na kapitana Ahaba, młody człowieku, a przekonasz się, że ma tylko jedną nogę.”

„Co masz na myśli, panie? Czy druga została utracona przez wieloryba?”

„Utracona przez wieloryba! Młody człowieku, podejdź bliżej: została pożarta, przeżuta, zmiądzona przez najbardziej potwornego potwora, jaki kiedykolwiek zniszczył łódź! – ach, ach!”

Byłem trochę zaniepokojony jego energią, może także nieco poruszony szczerym smutkiem w jego końcowym wykrzyknieniu, ale odpowiedziałem tak spokojnie, jak potrafiłem: „To, co mówisz, jest z pewnością prawdą, panie; ale skąd mogłem wiedzieć, że w tym konkretnym wielorybie była jakaś szczególna sroga ferocja, chociaż rzeczywiście mogłem to wywnioskować z samego faktu wypadku.”

„Słuchaj teraz, młody człowieku, twoje płuca są trochę miękkie, rozumiesz; w ogóle nie mówisz jak rekin. Pewnie byłeś już na morzu, prawda?”

„Panie,” powiedziałem, „myślałem, że mówiłem ci, że byłem na czterech rejsach w żegludze handlowej.”

„Nie mów mi tego! Pamiętaj, co mówiłem o żegludze handlowej – nie drażnij mnie! Nie chcę tego. Ale zrozummy się nawzajem. Dałem ci wskazówkę, czym jest wielorybnictwo; czy nadal czujesz chęć, aby to robić?”

„Tak, panie.”

„Bardzo dobrze. A teraz, czy jesteś człowiekiem, który potrafi wbić harpun w gardło żywego wieloryba, a potem skoczyć za nim? Odpowiadaj szybko!”

„Tak, panie, jeśli będzie to absolutnie konieczne; nie do uniknięcia, tak mówiąc; co nie wydaje mi się być prawdą.”

„Dobrze znowu. A więc, nie tylko chcesz iść na wielorybnictwo, aby doświadczyć, czym jest to zajęcie, ale chcesz także podróżować, aby zobaczyć świat? Czy nie to mówiłeś? Myślałem, że tak. Cóż, więc podejdź tam do przodu, zajrzyj przez burtę nawietrzną, a potem wróć do mnie i powiedz, co tam widzisz.”

Przez chwilę stałem trochę zdezorientowany tą dziwną prośbą, nie wiedząc dokładnie, jak ją odebrać, czy z humorem, czy na poważnie. Ale koncentrując wszystkie jego zmarszczki w jedno zagniewane zmarszczone czoło, kapitan Peleg nakazał mi wyruszyć na to zadanie.

Idąc w stronę dziobu i zerkając przez burtę nawietrzną, zauważyłem, że statek, kołysząc się na kotwicy z przyływem, teraz ukośnie kierował się w stronę otwartego oceanu. Widok był nieograniczony, ale niezwykle monotony i nieprzyjazny; nie dostrzegalem najmniejszej różnorodności.

„No i co tam widziałeś?” - zapytał Peleg, gdy wróciłem. „Co zobaczyłeś?”

„Niewiele,” odpowiedziałem, „tylko woda; całkiem spory horyzont, ale wydaje mi się, że zbliża się szkwał.”

„Cóż, co sądzisz o zobaczeniu świata? Chcesz opłynąć przylądek Horn, aby zobaczyć go więcej, co? Nie widzisz świata tam, gdzie stoisz?”

Byłem nieco oszołomiony, ale musiałem i chciałem iść na wielorybnictwo; a Pequod był tak samo dobrym statkiem jak każdy inny – pomyślałem, że to najlepsza opcja i wszystko to teraz powtórzyłem Pelegowi. Widząc mnie tak zdeterminowanego, wyraził chęć przyjęcia mnie na pokład.

„A więc możesz od razu podpisać papiery,” dodał, „chodź ze mną.” I mówiąc to, poprowadził mnie w dół na pokład do kabiny.

Siedząc na rufie, ujrzałem, co wydawało mi się bardzo niezwykłą i zaskakującą postacią. Okazało się, że to kapitan Bildad, który obok kapitana Pelega był jednym z największych właścicieli statku; pozostałe udziały, jak to czasami bywa w tych portach, były w rękach wielu starych rentierów: wdów, dzieci bez ojców i podopiecznych z sądów; każdy z nich posiadał udziały o wartości kawałka drewna, stopy deski lub kilku gwoździ w statku. Ludzie na Nantucket inwestują swoje pieniądze w statki wielorybnicze, tak samo jak ty inwestujesz swoje w zatwierdzone obligacje państwowe, przynoszące dobry zysk.

Kapitan Bildad, podobnie jak Peleg i wielu innych Nantucketerów, był kwakrem, ponieważ wyspa została pierwotnie zasiedlona przez tę sekty; a do dziś jej mieszkańcy w ogóle zachowują w niezwykłej mierze cechy kwaków, które są różnorodnie i anomalnie zmodyfikowane przez rzeczy całkowicie obce i heterogeniczne. Niektórzy z tych samych kwaków są najbardziej krwiożerczymi marynarzami i wielorybnikami. To są walczący kwakrzy; kwakrzy z pasją.

Tak więc zdarzają się wśród nich mężczyźni, którzy, nosząc imiona biblijne – co jest na wyspie niezwykle powszechne – w dzieciństwie naturalnie przesiąkają dostojnym dramatycznym „ty” i „wy” kwaków; jednak z ich śmiałymi, odważnymi i bezgranicznymi przygodami w późniejszym życiu, dziwnie mieszają się te nieprzemijające cechy z tysiącem śmiałych akcentów charakteru, które nie są niegodne skandynawskiego króla morza ani poetyckiego pogańskiego Rzymianina. A kiedy te cechy łączą się w człowieku o znacznie wyższej naturalnej sile, z kulistym mózgiem i ciężkim sercem; który również dzięki ciszy i osamotnieniu wielu długich nocnych wacht w najodleglejszych wodach, pod konstelacjami nigdy wcześniej tutaj niewidzianymi, został skłonny myśleć w sposób niekonwencjonalny i niezależny; przyjmując wszystkie słodkie lub dzikie wrażenia natury świeżo z jej własnej dziewiczej, dobrowolnej i ufnej piersi, i dzięki temu głównie, ale z pewną pomocą przypadkowych okoliczności, uczy się śmiałego i nerwowego, wzniosłego języka, który czyni człowieka jednością w całym narodowym spisie – potężnym, wspaniałym stworzeniem, stworzonym do szlachetnych tragedii. Niestety, nie umniejszy to wcale jego dramatycznej wartości, jeśli z powodu urodzenia lub innych okoliczności ma to, co wydaje się częściowo świadomą, przewrotną chorobliwością na dnie swojej natury. Bowiem wszyscy tragicznie wielcy ludzie stają się tacy przez pewną chorobliwość. Bądź tego pewien, o młoda ambicjo, wszelka śmiertelna wielkość to tylko choroba. Jednak na razie nie mamy do czynienia z takim człowiekiem, lecz z zupełnie innym; a jednak jest to człowiek, który, jeśli rzeczywiście jest osobliwy, wynika to jedynie z innej fazy kwakra, zmodyfikowanej przez indywidualne okoliczności.

Podobnie jak kapitan Peleg, kapitan Bildad był zamożnym, emerytowanym wielorybnikiem. Ale w przeciwieństwie do kapitana Pelega, który nie przejmował się tzw. poważnymi sprawami i w rzeczywistości uważał te same poważne sprawy za najzwyczajniejsze drobiazgi, kapitan Bildad nie tylko został początkowo wychowany zgodnie z najsurowszą sekta kwaków z Nantucket, ale całe jego późniejsze życie na morzu oraz widok wielu nagich, pięknych istot na wyspach wokół Przylądka Horn – wszystko to nie poruszyło tego urodzonego kwakra nawet na jotę, nie zmieniło nawet kąta jego kamizelki. Mimo tej niezmienności, w godnym kapitanie Pelegu brakowało pewnej wspólnej konsekwencji. Choć odmawiał noszenia broni przeciwko najeźdźcom lądowym z powodów sumienia, sam bez ograniczeń najeżdżał Atlantyk i Pacyfik; a mimo że był zaprzysięgłym wrogiem ludzkiej krwi, to w swoim prostym płaszczu rozlał tony krwi lewiatana. Jak teraz, w kontemplacyjnym wieczorze swoich dni, pobożny Bildad godził te rzeczy w swoich wspomnieniach, nie wiem; ale wydawało się, że niezbyt go to obchodzi, a bardzo prawdopodobne, że dawno temu doszedł do mądrego i rozsądnego wniosku, że religia człowieka to jedna rzecz, a ten praktyczny świat

to zupełnie inna. Ten świat przynosi zyski. Wstając z roli małego cabin-boy w krótkich, szarych ubraniach, do harpuna w szerokiej, brzusznej kamizelce; stając się następnie sternikiem, pierwszym oficerem, kapitanem, a w końcu właścicielem statku; Bildad, jak już wspomniałem, zakończył swoją przygodniczą karierę, całkowicie wycofując się z aktywnego życia w szanownym wieku sześćdziesięciu lat i poświęcając pozostałe dni na spokojne czerpanie ze swojego zasłużonego dochodu.

Niestety, Bildad miał reputację niepoprawnego skąpca, a w czasach swojej żeglugi był surowym, twardym tyranem. Mówili mi na Nantucket, chociaż wydaje się to dziwną historią, że gdy pływał na starym wielorybniku Categut, jego załoga, po powrocie do domu, była w większości przewożona na brzeg do szpitala, zmęczona i wyczerpana. Jak na pobożnego człowieka, zwłaszcza kwakra, był z pewnością dość bezwzględny, delikatnie mówiąc. Mówili, że nigdy nie przeklinał swoich ludzi, ale jakoś potrafił wydobyć od nich nadmierną ilość okrutnej, nieustępliwej pracy. Kiedy Bildad był pierwszym oficerem, jego szaro-zielone oczy wpatrujące się w ciebie sprawiały, że czułeś się całkowicie zdenerwowany, aż musiałeś chwycić coś – młotek lub wkrętak – i zacząć pracować jak szalony, nie zwracając uwagi na to, co robisz. Lenistwo i beczynność nie miały przed nim szans. Jego postać była dokładnym uosobieniem jego użytecznego charakteru. Na swoim długim, wychudzonym ciele nie nosił zbędnego tłuszczu, ani nadmiaru zarostu; jego podbródek miał miękką, oszczędną fakturę, podobną do wytartej faktury jego szerokiego kapelusza.

Uważałem go za najdziwniejszego starego kwakra, jakiego kiedykolwiek widziałem, zwłaszcza że Peleg, jego przyjaciel i stary towarzysz, wydawał się takim krzykaczem. Ale nic nie powiedziałem, tylko ostro rozejrzałem się wokół. Peleg otworzył teraz skrzynię, wyciągnął dokumenty statku, postawił przed sobą pióro i atrament, a sam usiadł przy małym stoliku. Zaczynałem myśleć, że nadszedł czas, aby ustalić, na jakich warunkach chciałbym zaangażować się w rejs. Już wiedziałem, że w branży wielorybniczej nie płaci się wynagrodzenia; wszyscy członkowie załogi, w tym kapitan, otrzymywali określone udziały zysku zwane „lays”, a te udziały były proporcjonalne do stopnia ważności przypisanego do odpowiednich obowiązków załogi statku. Wiedziałem również, że będąc nowicjuszem w wielorybnictwie, mój własny udział nie będzie bardzo duży; ale biorąc pod uwagę, że byłem przyzwyczajony do morza, potrafiłem sterować statkiem, łączyć liny i tym podobne, nie miałem wątpliwości, że z tego, co słyszałem, zaproponują mi przynajmniej 275. udział, to znaczy 275. część czystych dochodów z rejsu, niezależnie od tego, do jakiej kwoty to ostatecznie dojdzie. I choć 275. udział był tym, co nazywają dość DŁUGIM UDZIAŁEM, to

jednak lepsze to niż nic; a jeśli mielibyśmy szczęśliwy rejs, mogłoby to prawie pokryć koszty.